POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień · ***Dnia 7-go marca 1942r.*** · **Rok IV. Nr. 10**

ROZWAŻ TO DOBRZE

Oficerowi może się udać przekonanie przełożonych, że jest dobrym dowódcą; ale nigdy nie potrafi przekonać o tym swoich podwładnych, jeżeli nim nie jest rzeczywiście.

Trawestacja słów generała Wavella.

Sen o szpadzie staje się rzeczywistością.

Z żołnierzy o tylko osobistym lub bardzo małym zakresie odpowiedzialności stajecie się dowódcami. Z funkcyj szeregowców i podoficerów przechodzicie na funkcje oficerskie.

Być może—nie są to zawrotne szczyty. Tak, ale stajecie się d o w ó d c a m i. A to słowo mieści w sobie tyle treści. Od Was zależy nadanie brzmieniu tego słowa dźwięku klingi damasceńskiej. Od Was zależy nadanie temu słowu znaczenia symbolu—symbolu patriotyzmu, ofiarności, rzetelnej pracy i rycerskości. Mohort, Skrzetuski, Wołodyjowski, Longinus Podbipięta, Kmicic po nawróceniu się—oto Wasze ideały, oto drogowskazy dla Was.

Idźcie za nimi—napewno nie zaprowadzą Was na manowce.

* * *

Musicie otrząsnąć się po tym spokojnym, wygodnym bytowaniu, które oby nie było Kapuą.

Pamiętajcie, że ks. Józef Poniatowski po dziesięciu latach życia "Pod Blachą" potrafił osobiście prowadzić atak na groblach Raszyńskich. Nie zatarła się w nim pamięć Dubienki i Zieleniec . . .

Niechże te ostatnie dwa lata nie zatrą w Was pamięci Westerplatte, Modlina, Warszawy i Kocka . . .

* * *

Nieliczne są nasze szeregi. A olbrzymie zadania stoją przed nami.

Ale nie czas teraz mierzyć zamiary na siły. Musimy podwoić, potroić nasze siły. Musimy pomagać jeden drugiemu—jak umiemy: czynem, dobrą radą, zachętą, słowem otuchy, pieniądzem, uczciwością, zapomnieniem uraz i dobrą wolą we wzajemnych stosunkach. Prywata, interes jednostki muszą ustąpić na rzecz ogólnego dobra.

Idźmy więc razem, zwartą i zgodną gromadą do wspólnego nam wielkiego celu—do POLSKI ponownie wolnej.

Mało nas w szeregu, to prawda, ale czyż nas było więcej w latach tamtej wojny? czy w latach powstań? czy też w latach legionów Dąbrowskiego?

* * *

W tej długiej drodze, która Was czeka, macie prowadzić powierzone Wam oddziały.

Prowadźcie je mocną i pewną ręką, prowadźcie je z wiarą i uporem, z gorącym pragnieniem i niezachwianą żadnymi przeciwnościami nadzieją, nie ustawajcie ani na chwilę w drodze—w drodze ku zachodowi, ku POLSCE . . .

Celem Waszym—ta ostatnia przełęcz, z której ujrzycie w rozsłonecznionej mgle jutrzenki Wysoki Zamek i mury Cytadeli, Górę Trzykrzyską i wieże Św. Piotra i Pawła, a hen, daleko—dumny królewski Wawel i okaleczone lecz pełne chwały mury Stolicy . . .

* * *

Stałeś się d o w ó d c ą. Nie wolno Ci zawieść zaufania ani Twoich przełożonych ani Twoich podwładnych.

Artykuł niniejszy został napisany z myślą o kolegach, którzy w niedługim czasie mogą się znaleźć w formacjach Wojska Polskiego poza W. Brytanią. Bedą Im tam towarzyszyć nasze najlepsze myśli i życzenia.

Dowodzić—to nie znaczy tylko prowadzić oddział w boju. Dowodzić—to znaczy też przewodzić duszom podwładnych, kształtować je.

Do boju przysposobiły Cię szkoły wojskowe. Do przewództwa duszom — masz tylko dobrą wolę i gorące serce Polaka.

Rozważ dobrze te oto rady. Rozważ je myślą, rozważ je sercem i dobrą wolą. Być może—rady te pomogą Ci nieraz znaleźć właściwą drogę.

R o z w a ż j e d o b r z e :

1. Pamiętaj, że jesteś Polakiem synem Ojczyzny, która cierpi okrutnie. Postępuj więc tak, byś w każdej chwili mógł spojrzeć prosto w oczy Twej Matce, Siostrze czy Bratu, gdy zapytają Cię: "Coś czynił, aby nas uwolnić z tej strasznej niewoli?"

2. Pamiętaj, że jesteś chrześcijaninem i katolikiem. Nie zapominaj nigdy o BOGU, a On o Tobie nie zapomni. Pamiętaj, że BÓG jest mocen sprawić to, czego żadne ziemskie moce nie sprawią. Bez Jego woli nic się nie dzieje.

BÓG i Ojczyzna—to hasło nigdy nieprzebrzmiałe.

3. Pamiętaj zawsze, że pojęcie h o n o r u jest absolutne i tylko jedno; honoru nie można mierzyć, honor nie może być mniejszy lub większy, lepszy lub gorszy; honor albo się ma, albo się go nie ma wcale.

Prawdomówność, uczciwość, sumienność, wierność przysiędze i danemu słowu—to honor; kłamstwo, oszukaństwo, przywłaszczenie cudzej własności, złamanie słowa, intryganctwo—to naruszenie honoru, czyli nieposiadanie honoru.

Strzeż własnego honoru i wymagaj tego od otoczenia. Pamiętaj że w tej dziedzinie nie może być kompromisów ani względów przyjaźni. Trudna to i niewdzięczna zasada, ale nie wolno Ci odstąpić od niej.

Gdy masz jakiekolwiek wątpliwości co do tego jak postąpić—poradź się własnego sumienia. Ten głos wewnętrzny zawsze podpowie Ci nieomylnie, co jest dobre, a co złe. Chciej go tylko usłuchać, co nieraz jest trudne.

4. Każdy otrzymany rozkaz staraj się wykonać z jak najlepszą wolą i zrozumieniem intencyj przełożonego. Nie krytykuj go z miejsca, nie potępiaj, nie mędrkuj, nie znasz bowiem przesłanek, na których przełożony Twój opierał się wydając ten rozkaz. Twój widnokrąg jest zawsze węższy, a przełożonego szerszy, bo stoi on wyżej od Ciebie i widzi dalej.

Wykonując rozkaz pamiętaj, że służysz sprawie a nie osobie, a "sprawa"—to POLSKA.

"Czyń każdy w swym kółku, co każe duch Boży, a całość—sama się złoży." Pamiętaj o tym i wpajaj to w Twoich podwładnych.

5. Wymagaj od Twoich podwładnych bezwzględnego i sumiennego wykonywania obowiązków i przepisów służbowych. Ale sam musisz być wzorem służbistości i obowiązkowości.

Żądaj dokładnego i rzetelnego wykonania Twoich rozkazów. Gdy sam wykonywasz rozkazy przełożonych, kontroluj samego siebie na każdym kroku, czyś dołożył wszystkich sił i całej dobrej woli dla najlepszego ich wykonania.

Nie wydawaj nigdy rozkazów, o których wiesz, że nie są wykonalne. Nie narażaj też bez istotnej potrzeby życia Twoich podwładnych. Gdy jednak zadanie bojowe tego wymaga, nie wahaj się żądać od nich wysiłków, trudów i ofiar, aż do ofiary krwi i życia włącznie.

6. Będąc dowódcą musisz znać dobrze obowiązki Twoich podwładnych. Musisz s a m umieć wykonać to, czego żądasz od nich. Musisz umieć pomóc im i nauczyć ich. Musisz być dla podwładnych nauczycielem i kolegą, opiekunem i ojcem, przyjacielem i sędzią. Bądź surowy, ale przy tym sprawiedliwy.

Musisz stale troszczyć się o codzienne potrzeby Twoich podwładnych. Zawsze bądź pierwszy do pracy, a ostatni do spoczynku. Dziel ze swym oddziałem niebezpieczeństwa, trudy i znoje, dolę i niedolę.

7. Bądź życzliwy i przyjacielski dla Twoich podwładnych. Pamiętaj, że każdy z nich ma swoje troski, słabości i wady. Nie słuchaj podszeptów, nie dopuszczaj do intryg, rozważ dobrze i długo, zanim kogo potępisz. Bądź powściągliwy w karaniu, a ostrożny w chwaleniu. Staraj się poznać każdego z twoich podwładnych przez własną obserwację, a nie przez słuchanie cudzych opinji.

Surowo tęp służalczość, pochlebstwa, szukanie Twoich—jako dowódcy—względów, odpędzaj dym kadzidła, bo możesz łatwo dostać zawrotu głowy, a sam unikaj tego wszystkiego w stosunku do własnych przełożonych.

Uszanuj w każdym z podwładnych człowieka, który ma swoją godność osobistą i ambicję. Unikaj w stosunku do nich złośliwości, ironii, drobnych ukłuć, a tym bardziej krzywdy lub obrazy. Gdybyś się kiedykolwiek uniósł i obraził lub skrzywdził podwładnego, nie wahaj się go przeprosić lub naprawić krzywdę. Bądź przekonany, że przez to nie obniżysz swego autorytetu.

8. Nie szukaj łatwego uznania lub taniej popularności u Twoich podwładnych. Pamiętaj: nie potrafisz ich zwieść najukładniejszym słowem ani najpiękniej pomyślanym gestem. Oddział Twój ma instynkty i wyczucie prawdy nieomylne, Twoi podwładni zawsze odróżnią plewy od ziarna, a sztuczność od prawdy i szczerości. Fałszem, choćby najsłodszym, w stosunkach z podwładnymi uwłaczasz sobie i im.

Wystrzegaj się kłamstwa i zatajania czegokolwiek wobec Twoich przełożonych i surowo tęp to u podwładnych. Od kogo wymaga się odwagi i charakteru w obliczu śmierci, ten musi mieć na tyle odwagi i siły woli, by zawsze mówić prawdę, chociaż by najgorszą i chociaż by to pociągało przykre następstwa. Zawsze więc przyznaj się do własnej winy i wymagaj tego od podwładnych.

9. Nie trać pieniędzy na hulanki i na hazard w kartach. Pomyśl zawsze, że Twoim najdroższym w tej samej chwili, być może, brak właśnie tego grosza na czarny, gorzki chleb Polaka pod niemieckim jarzmem. Karć tę słabość u podwładnych i u kolegów.

10. Unikaj protekcji i nie szukaj promocyj dla siebie przy pomocy możnych tego świata, wykorzystując to, że masz sposobność ich znać.

Nie rość sobie praw i przywilejów z tytułu Twych zasług, bo nie służysz samemu sobie i nie jesteś sędzią samego siebie.

Nie goń też za odznaczeniami, awansami i pochwałami. Najwyższym odznaczeniem i nagrodą będzie dla Ciebie ponowne wskrzeszenie POLSKI, Jej chwały i potęgi.

Idź zawsze prostą drogą, chociażby była trudna i długa.

WITOLD WALEWSKI

Trzeci cel mojej podróży—najważniejszy—to zachowanie jedności narodowych Sił Zbrojnych. To mój obowiązek, jako Naczelnego Wodza, który stanąć musi pośród swoich żołnierzy, choćby walczyli na wysuniętym posterunku. Stwierdzam, że udało mi się to w stu procentach. Gdziekolwiek byłem—czy na kontrtorpedowcu naszym, który pełnił podówczas służbę w Kanale La Manche, czy wśród załogi łodzi podwodnej na Malcie, która właśnie wróciła z patrolu po wykonaniu ciężkiego zadania bojowego, czy też wreszcie w szeregach bohaterskiej już dzisiaj Brygady Karpackiej, rozmodlonych wprost do idei Wojska Polskiego i do Polski, wszędzie stwierdziłem, że nie trzeba było wielkich wysiłków, by zmontować jedność Wojska. Stwierdziłem z wielką otuchą, że idea żołnierza polskiego jest wszędzie ta sama, czy to w pustynnej Libii, Sowietach, czy tutaj w Brytanii.

Z przemówienia Naczeln ego Wodza do żołnierzy



W czasie ostatniego pobytu w Szkocji gen. Sikorski opowiedział zebranym żołnierzom delegatom wszystkich oddziałów I. Korpusu wrażenia, przeżycia i refleksje, z podróży na Bliski Wschód i do Rosji Sowieckiej. Trasę tej niecodziennej podróży, podczas której na każdym niemal etapie oczekiwali Naczelnego Wodza walczący żołnierze Rzeczypospolitej przedstawia reprodukowana tutaj mapa, pochodząca aż . . . z Rosji. Ofiarowali ją Generałowi redaktorzy czasopisma Ośrodka Organizacji Armii Polskiej w Tockoje—"Żołnierza w Polu" /por. reprodukcję w nr. 8 "Polski Walczącej"/ na pamiątkę pobytu w tej miejscowości. Mapa jak i okładka do niej, wykonana jest z drzewa z wruszającą pracowitością i godną podziwu dokładnością.



Od Bordeaux do Riom

/Parę dni temu w miasteczku Riom rozpoczął się proces, wytoczony przed specjalnym trybunałem przez rząd marsz. Pétaina w Vichy przeciwko osobom, rzekomo ponoszącym winę za klęskę wojenną Francji. Na ławie oskarżonych znalazło się dwu b. premierów francuskich — Blum i Daladier, dwu ministrów /trzeci sądzony jest w nieobecności/ oraz b. generalissimus marsz. Gamelin. W związku ze wspomnianym procesem artykuł niniejszy nabiera szczególnej aktualności. Aczkolwiek napisany znacznie wcześniej i pod innym kątem widzenia, doprowadza on jednak do wniosku, że od odpowiedzialności za to, co się stało, nie jest wolny, na równi z innymi osobami, które zajmowały kierownicze stanowiska we francuskim świecie wojskowym— sam marsz. Pétain./

I.

Pragnąc uwydatnić pewne okoliczności, które miały bezpośredni wpływ na klęskę Francji, podejmujemy to zadanie ze świadomością, iż im lepiej potrafimy się wmyśleć w sytuację, która doprowadziła do rozgromienia w ciągu sześciu tygodni armii francuskiej, belgijskiej, holenderskiej i brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego, tym łatwiej zdołamy przyczynić się do powstania nowej, zwycięskiej doktryny wojennej.

Dla nas, naocznych świadków, klęska ta była jak gdyby krótkim spięciem historii, katastrofą, która nagle i niespodziewanie spadła na głowę narodu. Historia jednak nie zna niespodzianek. Dlatego niewątpliwie słuszność ma pisarz francuski André Maurois, gdy w swej książce o porażce Francji zaznacza, że Francja przegrała wojnę w chwili, gdy ją rozpoczęła.

Nie bacząc na to, że od chwili rozpoczęcia wojny do pierwszych rzeczywistych działań wojennych na froncie zachodnim upłynął okres ośmiu miesięcy, który mógł być wyzyskany na przeprowadzenie koniecznych zmian, dyktowanych przez doświadczenia kampanii wrześniowej w Polsce, francuskie kierownictwo sił zbrojnych nic właściwie zasadniczego nie dokonało. Doktryna wojenna francuska nie reagowała na te doświadczenia tak samo, jak zlekceważyła nauki wojny w Hiszpanii, jak poprzednio nie zwróciła uwagi na szeroko omawiane w niemieckiej literaturze wojskowej zasady nowej taktyki wojny ruchowej.

II

Różnica pomiędzy potencjałem technicznym armii niemieckiej i francuskiej—oczywiście na niekorzyść tej ostatniej—była najbardziej oczywistą, najbardziej widoczną przyczyną porażki. Choć poziom uzbrojenia i wyposażenia technicznego armii francuskiej wydać się musiał uważnemu obserwatorowi rażąco, czasem wprost fantastycznie niski, to jednak odpowiadał on w zupełności założeniom doktryny, a przeto był zupełnie normalny w oczach francuskiego sztabu i sił fachowych ministerium wojny.

Oskarża się obecnie dawny rząd Bluma (t. zw. Frontu ludowego) o obniżenie zdolności wytwórczej przemysłu wojennego, pociąga się przed sąd jako winowajców ostatnich dwuch premierów, t. j. Daladiera i Reynauld, marsz. Gamelina, innych dowódców, czy też pomniejsze osobistości świata politycznego. Jednak wina co najmniej w równym stopniu obciąża marsz. Pétaina, czy też gen. Weyganda, którzy przecież do ostatnich niemal czasów mieli bezpośredni wpływ na budowę armii francuskiej. Jak to słusznie stwierdza Max Werner, autor książki p.t. "*Battle for the world*" (Bitwa o świat), "braki w uzbrojeniu nie były jedyną przyczyną porażki Francji. Francuskie przygotowania wojenne oparte były na ściśle określonym systemie i odpowiedzialność za przegraną spada na najwyższe osobistości francuskiego świata wojskowego i na ich doktrynę wojenną. Zawiedli nie poszczególni generałowie, lecz zawiódł cały sztab generalny, zawiodło dowództwo armii, zawiódł cały podstawowy system wojskowy."

Podkreślano już wielokrotnie w literaturze wojskowej, że pod pewnym względem armia francuska znajdowała się w sytuacji szczególnie sprzyjającej przygotowaniu się do wojny. Podczas gdy np. armia angielska sposobić się musiała do konfliktów mogących wybuchnąć w różnych punktach globu, do obrony różnych części imperium kolonialnego, armii francuskiej przyszły wróg i przyszły teatr wojny był wiadomy i znany z góry.

Najpierwszym zadaniem tej armii musiała oczywiście być obrona kraju, ale ponadto również obrona Luksemburga, Belgii i Holandii. Kluczowe położenie tych państw, zwłaszcza Belgii, jest dostatecznie znane. Ponadto nie można było przecież pozwolić na zajęcie przez nieprzyjaciela sojuszniczych krajów, które mogły wzmocnić armię francuską co najmniej czterdziestoma dywizjami. Dlatego, choć stosunki pomiędzy Francją i Belgią przechodziły rozmaite koleje na przestrzeni pięciu lat, poprzedzających wybuch wojny, francuski sztab generalny niewątpliwie przez cały ten czas musiał się liczyć ze wspólnym działaniem francusko-belgijskim w razie wojny.

Ale nawet i poza tymi zadaniami strategicznymi francuskie siły zbrojne nie mogły się w swych zadaniach bojowych ograniczać jedynie do samej tylko obrony kraju. W Europie powersalskiej obrona Francji oparta była na założeniu istnienia sojuszów wojskowych, które wymagały, aby armia francuska miała możność wykonać zobowiązania, wynikające z tych sojuszów. W miarę, jak polityka francuska sojusze te co raz bardziej lekceważyła, francuska doktryna wojenna ograniczała i zacieśniała się do zagadnień obronnych w najwęższym znaczeniu. I na odwrót: w miarę, jak Francja stawała się słabszym, czy mniej wartościowyn partnerem sojuszów wojskowych, malała siła przyciągająca tych sojuszów. Być może, że wzmiankowane ochłodzenie stosunków francusko-belgijskich było w dużym stopniu skutkiem takiego stanu rzeczy.

III.

Znany angielski pisarz wojskowy, kapitan Lidell Hart, opublikował w początkach 1927 roku serię artykułów poświęconych armii francuskiej, jej organizacji, wyszkoleniu, teoriom taktycznym. Wywołały one w swoim czasie duże zainteresowanie w kierowniczych sferach wojskowych Francji. Artykuły te (wydane ponownie w zbiorze prac autora, który ukazał się przed paroma miesiącami pod tytułem: *The Current of War*) zobrazowały na ogół trafnie istotę francuskiej myśli wojskowej, która, jak zobaczymy, nie uległa większym przemianom aż do ostatnich dni.

Podkreślając, że konserwatyzm był jej rysem znamiennym, Lidell Hart zaznacza, że o ile nie przekraczał on granic ostrożności, poczucia rzeczywistości, nawiązującego do przeszłych doświadczeń, nie był pozbawiony pewnej racji. Tak więc oparcie się na naukach, płynących z wojny francusko-niemieckiej 1870 r., okazało się całkowicie usprawiedliwione w świetle doświadczeń wojny 1914-18. Czy jednak potrafiono z tej ostatniej wojny wyciągnąć wnioski, odpowiadające warunkom techniczym, jakie powstały po jej zakończeniu?

Francuska doktryna wojskowa uważała za czynnik rozstrzygającego znaczenia siłę ognia. Regulamin podkreślał, że czynnikowi temu należy zapewnić pierwszeństwo przed zdolnością ruchu. Armia francuska zatym w zasadzie nastawiona była na akcję bojową ze statycznych stanowisk ogniowych. Wielką wagę kładziono na artylerię, natomiast broni pancernej nie traktowano w tym ujęciu, jako broni mogącej odgrywać samodzielną rolę: "Czołgi —cytuje Lidell Hart z francuskich źródeł oficjalnych—nie są zdolne do samodzielnego prowadzenia walki, stanowią wszakże ważne i skuteczne wzmocnienie dla piechoty". Miano tu oczywiście na myśli czołgi z okresu poprzedniej wojny. Zresztą jeszcze wiele lat później były one istotnym składnikiem wyposażenia francuskich sił pancernych, i ich szybkość nie różniła się od szybkości posuwania się piechoty. Przyznano im tedy rolę ruchomych blokhauzów.

Całość armii francuskiej w akcji przedstawiać miała według popularnego obrazu ciężki walec parowy, powolny, niezdolny do manewrowania, ale niszczący i miażdżący solidnie wszystko przed sobą. Słusznie jednakże zapytywał wspomniany autor angielski już przed 15 laty: "Jakiż będzie los tego walca, jeśli nieprzyjaciel, zamiast powoli posuwać się naprzeciw, zatarasuje pewne przestrzenie przy pomocy gazów, skupi natomiast doskonale wyćwiczone siły dla szybkich ruchowych uderzeń, które wykoleją złożoną francuską machinę wojenną? Jest to paradoks, że Francuzi i Niemcy jak gdyby zamienili się poglądami na wojnę, przynajmniej jeśli chodzi o zasady. Gdy Niemcy uosobiają napoleońską tradycję ruchliwości i zaskoczenia, Francuzi zrezygnowali ze swego historycznego rozpędu i zdolności manewrowania na rzecz siły ognia". Nie był jednak Lidell Hart wówczas w stanie przewidzieć, że również i pod względem siły ognia dywizje francuskie okazały się podczas krzyżowej próby za słabe.

Poza tym jednak sprawdziły się całkowicie obawy angielskiego pisarza: nawet bez potrzeby użycia zapory gazowej Niemcy zdołali po skoncentrowaniu swych jednostek pancernych i przy użyciu lotnictwa bombardującego przełamać front 9-ej armii gen. Corapa i przedrzeć się między Sedanem i Givet ku zachodowi, do Amiens i wybrzeża Kanału, odcinając armie angielskie, francuskie i belgijskie, podważając tym sposobem zupełnie cały francuski system obronny.

IV.

Wspomniane artykuły pozwoliły nam rzucić okiem na elementy francuskiego myślenia wojskowego kilkanaście lat przed wojną. Obecnie spojrzymy na nie z punktu, czasowo stykającego się niemal z jej wybuchem. Będzie nim książka gen. Chauvineau, nosząca tytuł "*L'invasion, est elle encore possible?*" (Czy inwazja jest jeszcze możliwa), która ukazała się w Paryżu w początkach 1939 r. Wywody autora poprzedził wstępem nie kto inny, lecz sam marsz. Pétain, popierając w całej rozciągłości poglądy autora.

Rzadko zaiste wodzowie, którzy przegrali wojnę, napisali przeciwko sobie tego rodzaju akt oskarżenia. Kto wie, czy nie po przeczytaniu tej książki właśnie sztabowcy niemieccy doszli do wniosku, że projektowana przez nich odmiana planu Schlieffenowskiego wcale nie jest nadmiernym ryzykiem. Zrozumieli z niej bowiem, że zwycięzcy wojny 1914-18 nie zdają sobie dokładnie sprawy z tego, jak tę wojnę wygrali, że myśl ich ciągle jeszcze obraca się naokoło pojęć wojny pozycyjnej pierwszych trzech lat wojny, nie jest zdolna zgłębić następstw, wynikających z końcowej fazy walk na zachodnim froncie, że więc z całą pewnością nie będzie w stanie podążyć za zmianami taktyki, związanymi z późniejszymi postępami w technice.

Podstawową myślą doktryny francuskiej było, jak już zaznaczono, ograniczenie się do zadań obrony kraju, czego nie będziemy w tym miejscu poddawać dyskusji. Przedstawimy tylko, jak sobie wyobrażano taktykę wojny obronnej. We wspomnianej przedmowie marsz. Pétain podkreśla, że przyszła wojna będzie wojną ciągłej linii frontu. Uzasadnia to po pierwsze okolicznością, że trzonem armii francuskiej są masy piechoty (!), po drugie zaś skutecznością broni, służącej do działania obronnego.

Pierwsza z tych dwuch przesłanek jest w pewnym sensie słuszna: armia, składająca się z mas piechoty, nadawała się do walk pozycyjnych, których logicznym następstwem było wytworzenie ciągłej linii frontu. Błąd polegał na tym, iż nie znaczyło to, że możliwe będzie utrzymanie takiej linii frontu przeciwko nieprzyjacielowi, którego akcja opierać się będzie na siłach pancernych i zmotoryzowanych, wspieranych przez lotnictwo bombardujące.

Druga przesłanka natomiast jeszcze lepiej uwypuklona jest w dalszych słowach przedmowy Pétaina: "żadna siła na świecie nie zdoła przeniknąć poza linię, utworzoną przy pomocy broni automatycznej i zapór z drutu kolczastego." Jasne jest, że marsz. Pétain mówiąc o broni, służącej do obrony, miał na myśli obronę przeciwko frontowym atakom piechoty z wcześniejszych stadiów wojny 1914-18 r., że zatym myśl jego cofnęła sie poza jej okres ostatni, kiedy użycie czołgów, nawet bardzo jeszcze dalekich od doskonałości, pozwoliło armiom sprzymierzonym sforsować linie obrony, odpowiadające jego opisowi.

Odpowiednio do tych pojęć swego mistrza gen. Chauvineau rozwija projekt ufortyfikowania granicy, w jej odcinku ciągnącym się od granic Luxemburga do morza przy pomocy zwykłych umocnień polowych, wspartych blokhauzami, ulokowanymi w odległości 100 do 200 metrów od siebie.

Operując takimi pojęciami, w sposób podobnie prymitywny przedstawiano sobie obronę przeciwtankową. Jak wiadomo —znaczny odsetek sprzętu przeciwczołgowego, zarówno na linii Maginota, jak i gdzie indziej, stanowiły działa polowe starego typu (używane przed wprowadzeniem znanych z poprzedniej wojny armat 75 mm.), które mimo pewnych przystosowań oczywiście nie mogły uczynić zadość wymogom, normalnie stawianym szybkostrzelnej broni przeciwczołgowej. Zaopatrzenie armii niemieckiej w taką broń stało na znacznie wyższym poziomie, mimo że doktryna francuska kładła tak znaczny nacisk na siłę ognia.

Rzeczą najbardziej charakterystyczną jest, że ani w przedmowie Pétaina ani w treści książki nie znajdujemy—poza kilkoma ubocznymi wzmiankami—nic o roli i znaczeniu broni lotniczej. Zresztą zapoznawanie doniosłości tej broni wśród kierowniczych sfer francuskich było tak dalece rozpowszechnione, że nawet grupa zwolenników zreformowania, unowocześnienia i zmotoryzowania armii, w skład której wchodzili jak wiadomo gen. de Gaulle i ostatni premier niepodległej Francji, Reynaud, nie uważała za rzecz istotną stworzenia odpowiednio silnego lotnictwa. Książka de Gaulle'a (*Vers l'armée de métier*) jest doskonałym tego przykładem.

V

Po klęsce Francji wiele atramentu czy też farby drukarskiej wylano dla wykazania, że linia Maginota była nieszczęściem Francji, bodaj że przyczyną jej porażki. Miała ona rzekomo być nie tylko nieprodukcyjnym miliardowym wydatkiem, lecz ponadto wywierać ujemny wpływ na francuską myśl wojskową, wytwarzając specyficzny jakiś "kompleks linii Maginota."

Te zarzuty jednak nie są ani uzasadnione ani słuszne. Stworzenie nowoczesnej linii stałych fortyfikacji w warunkach francuskich stanowiło po prostu konieczne minimum ostrożności i przesłankę dla każdego poważnego planu strategicznego. Niemcy ufortyfikowały swą granicę zachodnią jeszcze bardziej intensywnie. T. zw. "*Westwall*", przekraczał swą głębokością znacznie linię Maginota, nikt jednak nie uważał go za przyczynę jakiegokolwiek kompleksu wśród sztabowców niemieckich.

Natomiast jeśli się zważy wskazane elementarne błędy francuskiej doktryny wojennej należy wątpić, czy francuskie linie fortyfikacyjne stanowiły istotnie tak niemożliwą do przełamania zaporę, jak to sobie powszechnie wyobrażano. Przebieg kampanii nie dał na to pytanie wyraźnej odpowiedzi. Niemcy zdołali sforsować odcinek linii Maginota położony nad Renem, stało się to jednak dopiero 15 czerwca, a więc wówczas, gdy siła oporu armii francuskiej była już złamana, a postępujące z kierunku północno-zachodniego niemieckie kolumny pancerne doszły, obchodząc cofające się oddziały francuskie, do Châlons sur Marne.

Ale nawet gdybyśmy uznali, że linia Maginota pod względem swej siły obronnej usprawiedliwiała całkowicie pokładane w niej nadzieje, to i wówczas mylny byłby wniosek, że ewentualne jej przedłużenie wzdłuż granicy belgijskiej aż do wybrzeża morskiego, mogłoby być niejako gwarancją zwycięstwa. Nie tylko akcja bojowa na szerszą skalę, a więc zmierzająca do ujęcia inicjatywy, zajęcia baz operacyjnych nieprzyjaciela, przecięcia linii komunikacyjnych, wkroczenia na zajęte przezeń terytorium, lecz i sama nawet akcja oporu przeciwko nieprzyjacielowi, który pochwycił inicjatywę, nie mogła i nie może być sprowadzona do sprawy posiadania dostatecznie mocnej linii ufortyfikowanej. W kontretnych francuskich warunkach już choćby sprawa obrony trzech krajów, graniczących od północy z Francją, nie dawała się rozwiązać w takich ramach. Ale i poza tym same fortyfikacje nie mogły mieć rozstrzygającego znaczenia.

Tylko posiadanie siły zbrojnej, mającej odpowiednią budowę, posiadanie doktryny wojennej, któraby odpowiadała doktrynie wojennej przeciwnika, mogło dać szanse zwycięstwa.

STEFAN KOBRA

PROSZĘ PANÓW . . .

Nas—proszę panów—tak mało obchodzi
Codzienne wasze, stołeczne menu:
Kto gdzie ma kogo, kto geniusz, kto złodziej,
Kto za kim stoi i przed kim kto drży.
Kto na zebraniu i w którym siadł rzędzie
I czy uśmiechnął się przy tym czy zbladł,
Jakie kto nici z londyńskiej mgły przędzie
I mota nimi urojeń swych świat.

Nam—proszę panów—doprawdy. już zbrzydła
Ta papkinada wielkich słów i bzdur,
Upiorny taniec wasz w samokadzidłach
I jazz murzyński polemicznych piór.
Nas nie obchodzą wasze oświadczenia,
Bo z doświadczenia z góry wiemy, że
Po oświadczeniach przyjdą zaprzeczenia,
Aż w sprostowaniach rzecz zagubi się.

Nas—proszę panów—nie przejmuje wcale
Lament, że zginął gdzieś . . . partyjny klucz,
Albo, że w barze "pod wściekłym szakalem"
Przygotowuje "poseł Buhaj" pucz.
Ponurych waszych igraszek przesyty
Bolą nas, drażnią i wprawiają w złość.
Te wszystkie gierki i klajstry i chwyty . . .
My—proszę panów—mamy tego dość.

Bo na placówkach, wsłuchani w szum morza,
Chcemy mieć spokój, aby czujniej strzec
Tej strony nieba gdzie pali się Zorza,
Ku której ruszym, aby dojść—lub lec.
Więc—proszę panów—niech ten zgiełk się zmniejszy,
Aby mógł żołnierz po żołniersku żyć.
Nam dała Polska mandat najważniejszy:
Milczeć i czuwać, a gdy trzeba—bić.

ADAM KOWALSKI

O jutro demokracji

I. POKÓJ NIE BĘDZIE ŁATWY

"Celem naszym jest zwycięstwo" — powiedział Churchill — "bo bez zwycięstwa nie ma dla nas życia." Bez zwycięstwa nie ma życia ani dla Anglii, ani dla Polski, ani dla nikogo na całym świecie. Nawet dla Niemiec.

Jednak zwycięstwo nie da nam samo przez się życia. Zwycięstwo, które oznaczałoby nawrót do przedwojennej sytuacji—z bezrobociem, "samowystarczalnością," z zarozumiałą suwerennością małych państw, z armatami kosztem masła, z kawą paloną w Brazylii, z pszenicą paloną w Kanadzie i t.d., jest nie do pomyślenia. Tego co było, już nie będzie, choćby tylko dlatego, że chaos, w jakim Niemcy pozostawią Europę nie da się automatycznie "przełączyć", w jakąś przedwojenną sielankę. Trzeba będzie lat, aby to wszystko uporządkować.

Dla uzmysłowienia tego weźmy drobny przykład. Pan X, dziś żołnierz polski w Tobruku, zostawił w Warszawie, w obrębie dzisiejszego ghetta, mieszkanie. Mieszkanie to zajął żyd p. Y, przesiedlony do ghetta z Placu Napoleona. Do mieszkania p. Y wprowadził się p. Z, którego deportowano z Poznania. Mieszkanie p. Z w Poznaniu zostało "skonfiskowane," meble sprzedane, lokal zajął ktoś inny. Pan Z zadomowił się w Warszawie, ma nową pracę, nowych znajomych. W Poznaniu nie ma już niczego i nikogo. Pomyślmy teraz o tych tysiącznych zawikłaniach, które powstaną, gdy po wojnie p. X powróci do Warszawy. Co się ma stać z panem Z i z panem Y, z ich rodzinami, z szeregiem ludzi, z którymi są związani?

Oto najprostszy przykład. Są przykłady znacznie trudniejsze i bardziej zawiłe i jest ich miliony w całej Europie. Niedoskonały—jak niedoskonały poznaliśmy na własnej skórze—system przedwojenny, nie potrafi się z tymi zagadnieniami uporać.

Więc co będzie? Do czego zdąża świat? O jakie jutro walczysz Ty żołnierzu? Na jaki lemiesz przekujesz Twój zwycięski miecz? Sprawy te są równie ważne, jak samoloty, tanki i armaty. Bo pocóż by nam było zwycięstwo, po którym nie byłoby życia.

Zdają sobie sprawę z tego ludzie, którzy nami rządzą; dowód tego stanowi fakt, że jeden z członków angielskiego gabinetu wojennego ma specjalne poruczenie przygotowania planów odbudowy powojennej. Dowodem jest mowa prezydenta Roosevelta na Międzynarodowej Konferencji Pracy w New Yorku. Zdaje sobie sprawę z tego opinia krajów anglosaskich; dowodem setki książek, broszur, artykułów, które się ukazują zarówno w Anglii jak i Ameryce.

"Musimy pamiętać, że żyjemy w jednym z rewolucyjnych okresów historii: ginący, lecz wciąż jeszcze czynny system walczy z siłami i ideami, z których narodzić się ma nowy porządek świata." "Stary system rozpada się wszędzie w kawałki; a na dalszą metę jest tylko jedno pytanie: czy będzie można stworzyć nowy system na czas, aby uchronić świat przed chaosem." /Julian Huxley./

Opinia polska na razie milczy. A może się mylę? A jeśli się mylę, to dlaczego jej nie słychać? To nie są sprawy na zacisza biurkowe urzędników ani na dyskusje kawiarniane. I choć nie każdy jest w stanie przyczynić się do dyskusji, każdy z nas chce i powinien wiedzieć. Więc jeśli się o tym mówi—prosimy mówić głośno.

II. WYZNANIE DZIENNIKARKI

"Niewielu ludzi jeszcze zdaje sobie sprawę z tego jak zasadnicze powikłania przynosi ta wojna, która w tej chwili toczy się na świecie. Nikt prawdopodobnie nie rozumie pełnego ich znaczenia; ja w każdym razie nie rozumiem. Ale to wiem, że ta wojna jest tylko częścią największej rewolucji, jaką znała historia rasy ludzkiej. To wiem, że jesteśmy w środku walki o największą sprawę, z jaką człowiek kiedykolwiek się mierzył.

Sprawą tą jest: Czy będziemy żyli nadal w świecie, w którym siła przenika wszystko i jest najwyższym sędzią wszystkiego, czy też po raz pierwszy etyka chrześcijańska stanie się podstawą życia społecznego? Lub mówiąc inaczej: Czy świat ma się stać zupełnie pogański, czy też ma wreszcie wejść w epokę, w której zachowywać się będziemy w myśl dziesięciorga przykazań i pierwszego przykazania?

Powody tego olbrzymiego konfliktu . . . sięgają głęboko w przeszłość. Rozrost ich rozpoczął się z nastaniem ery przemysłowej. Przedtem większość ludzi żyła z rolnictwa i z rzemiosła. Rodziny i drobne gminy były samodzielne. Ludzie niewiele wiedzieli o współzależności, która cechuje nasze istnienie. Dziś nikt nie jest niezależny. Każda sprawa naszego życia jest zależna od pracy i pieniędzy innych ludzi.

Ta wzajemna zależność każdej istoty ludzkiej od dziesiątek tysięcy innych istot ludzkich stwarza związek społeczny, który dąży do porządku opartego na współpracy całego świata. Lecz cały nasz system narodowy i międzynarodowy oparty jest na sile. W sferze międzynarodowej pojęcie nacjonalizmu sprzeciwia się każdemu prawu, które jest wznioślejsze od praw stworzonych przez poszczególne narody w ich własnym interesie.

Równolegle z tym pogańskim pojęciem życia istniała inna myśl. Najwznioślejsza, jaką kiedykolwiek stworzono. Ideał chrześcijański. Ten ideał cechuje kulturę Zachodu. Mówi on, że człowiek nie żyje dla samego siebie, lecz że każdy z nas jest częścią wszystkich. Mówi, że "ktokolwiek kocha swe życie, straci je." Żąda, abyśmy kochali naszych bliźnich, jak siebie samych i abyśmy nie czynili nikomu, czegobyśmy nie chcieli, aby nam czyniono. Mówi, że podstawą powodzenia jest nie wojna, lecz miłość. Mówi, że wszyscy ludzie—biali, czarni, żółci i czerwoni są braćmi. Uznaje społeczeństwo za rodzinę, w której każdy żyje dla wszystkich a wszyscy dla każdego.

Osobiście stwierdziłam, że aby żyć szczęśliwie i z pożytkiem musiałam prowadzić nie życie walki o powodzenie moich własnych spraw, lecz życie ciągłego wyrzeczenia. Trzeba mi było trzydziestu lat, abym poznała tę prawdę, że etyka chrześcijańska jest podstawą społecznej doskonałości." */Z artykułu Dorothy Thompson p.t. We Must Change Our Hearts, według "World Digest."/*

III. KSIĄŻKA UCZONEGO

Dla większości ludzi ziemskiego globu, demokracja, to obce, niezrozumiałe słowo. Tym bardziej obce, że naprzekór słownikowemu określeniu /"Demokracja: forma rządów, w której lud wykonuje władzę najwyższą."/ za pojęciem demokracji kryje się setka mniej lub więcej płytkich i demagogicznych frazesów. Szukając definicji, określonego znaczenia popełniamy błąd. Demokracja jest rzeczą płynną, jak wszystkie sprawy związane z człowiekiem. Zależy od czasu, miejsca, warunków, ludzi.

"Każda poszczególna demokracja jest poszczególnym usiłowaniem urzeczywistnienia ogólnego demokratycznego ideału,"—mówi Julian Huxley w swej książce p.t. *Democracy Marches* /Chatto and Windus 1941/—"a ten ideał jest z punktu widzenia historii czymś bardzo młodym. Jest to przede wszystkim wiara w to, że pojedyncza istota ludzka jest czymś, co ma największe znaczenie—większe niż państwo, lub majątek narodowy lub cokolwiek innego. Następnie jest to wiara w równość,—nie w tym znaczeniu, że każdy człowiek jest podobny do drugiego lub jest równie uzdolniony, ale że każdy powinien mieć pewne zasadnicze równe możliwości." "Ideał demokratyczny to także wiara w to, że rządy powinny istnieć nie tylko dla korzyści ludu, ale jako przedstawicielstwo ludu. Ponieważ założeniem demokracji są rządy sprawowane za zgodą wszystkich, demokracja—oznacza tolerancję; ponieważ założeniem jej jest równość—oznacza równe możliwości; ponieważ założeniem jej jest, że najwyższą wartość ma pojedynczy mężczyzna czy pojedyncza kobieta—oznacza wolność."

Każda demokracja zdąża do tego ideału. Jedna urzeczywistnia go pełniej, druga mniej. Demokracja angielska, mimo zacofania angielskich urządzeń społecznych, mimo nędzy "*slums'ów*" /mieszkań biedoty/ czy przywilejów "*Old School Tie'ów*" /wychowanków arystokratycznych szkół/, mimo pompy i konserwatyzmu—nie jest najgorsza. Fakt, że można o wszystkim pisać i o wszystkim dyskutować bez lęku i bez dyktatu jakiejś władzy, której się coś nie podoba, fakt, że "*self-control*" /samokontrola/ Anglików pozwala im nawet na tolerancję—tę najtrudniejszą ze wszystkich demokratycznych cnót—świadczy o jej wyższości.

Huxley pod pozorem oschłej rzeczowości, pełnej nieraz wyraźnej krytyki, jest—jak każdy Anglik—bardzo ze siebie i ze swego kraju zadowolony. Czy mowa o angielskich ubezpieczeniach społecznych, emerytalnych lub chorobowych, czy o szpitalnictwie, czy o powszechnym nauczaniu i t.p.—ogólny tenor jego wywodów jest pełen zarozumiałości tak właściwej Anglikom. Co prawda to nasze Kasy Chorych i Ubezpieczenia Społeczne, jak zresztą całe nasze Ustawodawstwo Społeczne było o wiele bardziej postępowe od angielskiego /zwracam uwagę na bardzo pożyteczną broszurę wydaną przez "Liberty Publications" p.t. *Workers' Protective Legislation in Poland*/, ale w praktyce "common sense" i powszechne zaufanie jednego człowieka do drugiego pozwalają angielskim instytucjom działać sprawnie tam, gdzie w każdym innym kraju byłby co najmniej bałagan.

"Musimy jednak zdać sobie sprawę z tego, że służba społeczna nie koniecznie jest sprawą demokratyczną." Totalitarne — a zwłaszcza niemieckie— organizacje służby społecznej są bardziej skuteczne w działaniu, niż demokratyczne. To wysunięcie na pierwszy plan spraw socjalnych w Niemczech było naturalnym wynikiem tego, że narodowy socjalizm "zapomniał" o swoim programie gospodarczym. "Jest oczywistą prawdą, że system hitlerowski jest zasadniczo antydemokratyczny a jego ostatecznym celem jest potęga, tak że właściwie hitlerowska służba społeczna nie dąży do dania pojedynczym Niemcom większych szans pełnego życia i rozwoju, lecz zmierza do tego, aby uczynić Państwo Niemieckie silniejszym, co zresztą nie jest zaprzeczeniem faktu, że hitleryzm jest pozytywnym i bardzo skutecznym narzędziem służby społecznej. Trudniej jest pogodzić dobrą organizację służby społecznej z systemem demokratycznym. . . . jeśli myśli się za wiele o sprawności, mimo woli jest się skłonnym do poświęcenia—choć w części—wolności osobistej i inicjatywy prywatnej."

Ciekawe uwagi wypowiada Huxley o wychowaniu. W poprzednich wiekach wychowanie miało kierunek religijny. Wiek XIX przyniósł ześwieczczenie szkół; wychowanie stało się bardzo rzeczowe i ściśle rozumowe, jednak zatraciło myśl przewodnią, kierunek. Huxley jest zdania, że nowe wychowanie odzyska kierunek w nastawieniu społecznym.

System gospodarczy "*laisser faire,*" "każdy sobie," system wolnej konkurencji się przeżył. Fantastyczny rozwój techniki a zwłaszcza środków komunikacji i transportu, który dziś jeszcze nie osiągnął szczytu swych możliwości—doprowadził do absurdu prawo podaży i popytu. Dobre zbiory pszenicy w Kanadzie czy Argentynie dusiły cenę poniżej granicy opłacalności w Polsce czy Rumunii. Tania robocizna Węgier stwarzała dumping towarów przemysłowych w Anglii i obniżała robociznę angielskiego robotnika poniżej jego stopy życiowej. Wszystkie inne objawy jak n.p. premiowanie eksportu, bariery celne, clearingi i t.p., to wszystko było wynikiem chaosu, jaki powstał na skutek przeżycia się systemu "laisser faire" w epoce motoru spalinowego i elektryczności.

I choć bastiony jego, w postaci wielkich karteli, ciężkiego przemysłu etc. bronią się ze wszech sił, co raz głośniejsze jest wołanie o zmianę. Zmiana taka może się dokonać, zdaniem Huxleya, tylko na drodze planowania naszego życia gospodarczego na skalę światową. "Dla demokracji jest zagadnieniem jak pogodzić skuteczne planowanie z demokratyczną wolnością i przedsiębiorczością." Planowanie to musi uwzględnić przede wszystkim rozwój krajów gospodarczo zacofanych, które inaczej "byłyby tylko kulą u nogi reszty świata."

Równość między narodami jest sprawa o tyle trudną, że "moralność międzynarodowa pozostała daleko w tyle za moralnością jednostki." Brytyjska Wspólnota Narodów dała, jak dotychczas, najlepszy wzór współpracy międzynarodowej, nieopartej na przymusie, lecz na dobrej woli i zdrowym rozsądku narodów, w przeciwstawieniu do "Nowego Porządku" Niemiec, opartego na armiach okupacyjnych. "Z drugiej strony jednak"—i to zdanie Huxleya jest bardzo boleśnie słuszne—"Niemcy czynią jedną rzecz wartościową: zamieniają Europę w jedną gospodarczą i polityczną całość, mimo iż sposób, w jaki to czynią jest ohydny i nie może przetrwać. Przez szereg napaści zaś na małe państwa dały Niemcy światu gorzką, lecz konieczną naukę, że suwerenne prawo małych narodów do neutralności nie może być nadal tolerowane."

W ostatnim rozdziale p.t. *The New Democratic Society*, szkicuje Huxley swój "nowy lepszy świat." "Wiek człowieka społecznego," w którym motyw gospodarczy, motyw bogacenia się będzie tylko motywem wtórnym, a na plan pierwszy wysunie się "motyw służby i poświęcenia, motyw rozwoju i zadowolenia osobistego oraz motyw jednostkowej i zbiorowej twórczości."

DOMINIK SZCZERBIC

Najbliższy /11-y/ numer "Polski Walczącej" ukaże się w zwiększonej objętości i będzie poświęcony polskim wojskom spadochronowym.
Administracja prosi o wcześniejsze zamawianie dodatkowych egzemplarzy.

Jeszcze o jedności działania i naczelnym dowództwie w czasie wojny

Na mój artykuł p.t. "Jedność działania," zamieszczony w "Polsce Walczącej" z 31 stycznia, odpowiedział w "Myśli Polskiej" p.N.K., zarzucając mi "pomieszanie pojęć" funkcji i władzy oraz "jednostronną interpretację przykładów historycznych."

Co do pierwszego zarzutu pozostawiam publicyście z "Myśli Polskiej" cały kłopot z oddzielaniem funkcji /rządowej czy dowódczej/ od władzy, a władzy od funkcji. Na takie zabawki myślowe czasy są—jak dla mnie—zbyt poważne.

Co do drugiego zarzutu sądzę, że mój krytyk jest źle poinformowany. Gdy twierdzi, że Clémenceau nie był formalnie naczelnym wodzem, wybija drzwi otwarte; gdy natomiast twierdzi, że był nim marsz. Pétain, jest w błędzie, gdyż Pétain dowodził tylko armiami na froncie francuskim, nie podlegały mu ani armie poza Francją, ani wojska wewnątrz kraju. Wszystko to, wraz z samym Pétainem, podlegało Clémenceau jako ministrowi wojny. Marynarka podlegała Clémenceau tylko jako premierowi. Na tym dopiero szczeblu łączyły się funkcje dowodzenia całością sił zbrojnych, odpowiadające funkcjom naczelnego wodza.

Jeśli zaś mowa o Churchillu, to sądzę, że prawie nikt na tej wyspie i poza nią nie ma wątpliwości co do jego roli jako faktycznego naczelnego wodza całości sił zbrojnych imperium. Autor artykułu "Myśli Polskiej" stanowi wyjątek. Kompetencje Szefa Sztabu Imperialnego rozciągają się tylko na wojska lądowe. Nie podlega mu lotnictwo, nie mówiąc o marynarce. Innymi słowy, nie może być operacji w większym stylu, o której mógłby decydować sam. Naczelne funkcje dowódcze spoczywają w ręku czynnika nadrzędnego w stosunku do wszystkich "Forces," którym jest *de facto* premier, będący zarazem ministrem obrony narodowej.

W obu wypadkach premier wziął w swoje ręce *de facto* choć nie *de nomine* funkcje wodza naczelnego, a oba przykłady dowodzą, że rozwiązanie takie było nieuchronną niemal koniecznością, narzuconą przez charakter nowoczesnej wojny.

W wojnie dzisiejszej operacje wymagają nie tylko najściślejszego współdziałania wszystkich sił zbrojnych i ich jednolitego kierownictwa, lecz także są najściślej i stale związane z wysiłkiem mobilizacyjnym, produkcyjnym, transportowym. Gdy ktoś mówi, że premier ma prowadzić politykę, a wódz naczelny działania wojenne, dowodzi tylko jednego: że nie ma pojęcia o wojnie nowoczesnej i nie zdaje sobie sprawy z rzeczywistości.

Nasza Konstytucja kwietniowa stawiająca wodza naczelnego obok Rządu jako czynnik niezależny, podporządkowany tylko Prezydentowi /zobacz art. 63/, nie liczyła się również z przemianami, jakich doznała wojna.

Są tylko dwa możliwe rozwiązania. Albo wódz naczelny jest jednocześnie szefem Rządu, albo jest podporządkowany szefowi Rządu. Inaczej nie ma jedności działania. Jest dwutorowość, lub wielotorowość działania i decyzji. I to w walce z totalizmami, które scentralizowały kierownictwo bezwzględnie i z wiadomymi nam dobrze wynikami.

Demokracja, o którą tak troszczy się "Myśl Polska," skazywałaby się na klęskę, gdyby w wojnie totalnej na śmierć i życie nie umiała się zdobyć na zapewnienie jedności działania przez jednolite kierownictwo wojenne i pozostawiała je w stanie zalecanej przez p.N.K. parcelacji.

Dla nas wobec postanowień obowiązującej konstytucji nie było w ogóle innego rozwiązania, jak połączenie władzy premiera i wodza naczelnego w jednym ręku. Każde inne rozwiązanie w ramach konstytucji albo przesuwałoby całe kierownictwo wojną z rąk Rządu w ręce stojącego poza nim naczelnego wodza /tak się stało w Polsce przed wrześniem 1939/, albo prowadziłoby do wielotorowości poczynań i decyzyj w dziedzinie wysiłku wojennego.

Publicysta z "Myśli Polskiej" wspomina o naszej własnej przeszłości i własnych doświadczeniach. Skoro tak, przypomnę krótko dwa przykłady z doby naszej "demokracji szlacheckiej" zanim zwyrodniała: Zamoyski był kanclerzem i hetmanem, Żółkiewski był hetmanem i kanclerzem.

"Myśl Polska" powołuje się jednak także na przykład Hitlera. Nie jako na przykład maksymalnego skupienia władzy kierowniczej w wojnie totalnej. Wręcz przeciwnie. Pan N.K. robi odkrycie: tam u Niemców był "podział pracy," a Hitler objął naczelne dowództwo dopiero 21 grudnia 1941 r. Odkrycie zadziwiające. Hitler był od początku wojny naczelnym wodzem sił zbrojnych. Podlegali mu głównodowodzący wojsk lądowych, sił powietrznych i marynarki. W grudniu zaś objął ponadto bezpośrednie dowództwo wojsk lądowych. Lepiej zatem w tym wypadku nie świadczyć się Hitlerem.

Aby w tych sprawach głos zabierać, trzeba wiedzieć i znać się na wojnie. Dlatego też nawet we Francji, tak dbałej o to, by wojsko było "wielką niemową" w sprawach obrony narodowej wypowiadali się publicznie, na łamach "*Revue des Deux Mondes,*" odpowiedzialni kierownicy wojskowi, jak Débeney a później Weygand. Wojsko winno być istotnie "*la grande muette*" w sprawach wewnętrzno-politycznych. Nie wynika stąd, by jego odpowiedzialni kierownicy nie mieli nic do gadania w sprawach organizacji obrony narodowej. Co zaś do prasy brytyjskiej, jeśli się ktoś powołuje na to, co ona pisze a czego nie pisze—trzeba ją czytać.

Tyle o samym zagadnieniu. Nie odpowiadam zaś na osobiste aluzje, wystrzelone jak kulą w płot.

MARIAN KUKIEL

Ochotnicy z Ameryki Południowej

(Opowiadanie uczestnika pierwszego transportu)



Sztandar towarzystw polskich przywieziony z Argentyny

Sprawa ochotników z Płd. Ameryki do Polskiej Armii będzie jednym z wielu przyczynków, jedną z wielu racji, które potwierdzą raz jeszcze tradycje narodu polskiego w walkach o wolność. Bez ryzyka można stwierdzić, że jeśli wojna posuwa na przód technikę o sto lat, a cofa kulturę o cyfrę wielokrotnie większą, że jeśli wojna jest dla Mussoliniego "odżywczym środkiem dla zdrowia i tężyzny narodu," to wojna dla Polski jest jeszcze jedną okazją do pokazania światu po raz któryś już z rzędu, że tradycja, zdrowie moralne i tężyzna zawsze istnieją w narodzie polskim i że jeśli chodzi o broń moralną, nieprzyjaciel zawsze zastanie Polaków gotowych do boju.

Do potwierdzenia tradycji bojowej o wolność Polski, przyczynili się Polacy z Płd. Ameryki. Ci, którzy musieli wywędrować z kraju, ci którzy przemierzają lądy i oceany w poszukiwaniu za zarobkiem, ci którzy Polskę opuścili przed kilkunastu i często przed dwudziestu laty, ci których uważano za straconych dla Polski, na których nikt nie liczył, ci którzy już poprawnie po polsku mówić nie umieją—ci wszyscy stali się wzorem dla tworzących się zastępów ochotniczych za oceanem.

Byłem w czasie tych pamiętnych dni w Chile, gdzie doszła mnie wiadomość, że poselstwo polskie w Buenos Aires pierwsze w Płd. Ameryce organizuje pobór ochotników do Armii Polskiej. Po tygodniu byłem i ja w konsulacie.

Rzecz jasna, uległem powszechnemu przekonaniu, że rekrutacja ochotników nie da wyniku, że emigranci za długo byli poza krajem, że nie zapomnieli ciężkich czasów bezrobocia w mieście i na wsi, że nie rzucą z trudem zdobytych stanowisk w Argentynie. Jednym słowem dużo motywów przemawiało za tym, że rekrutacja się nie uda.

Dokładnie sobie przypominam wieczory spędzane ze znajomymi przy stoliku w kawiarni, wieczory spędzane na dyskusjach, na rozważaniach licznych "za" i "przeciw" rekrutacji. Ogólny, prawie jednomyślny wynik brzmiał, że zgłoszą się tylko ci, którzy pracy znaleźć nie mogą, którzy w ogóle pracować nie chcą; że zgłoszą się ci, którzy po wielu awanturach chcą mieć jeszcze jedną—wojenną. Że zgłoszą się ci, którzy już niczego od życia nie oczekują.

Choć słyszałem już wiele opinii i sądów, które wydane z góry, sprawdzały się lub nie, jednak świadkiem tak wielkiego i powszechnego rozczarowania nigdy nie byłem . . .

W konsulacie wrzało jak w ulu. Poczekalnie, korytarze, przejścia a nawet chodniki na ulicach były zajęte przez przyszłych żołnierzy.

W pierwszych dniach rejestracji wojskowej wszystkich Polaków, na dziesięciu rejestrowanych sześciu zgłaszało się na ochotników. W następnych dniach stosunek wynosił już osiem do dziesięciu, wreszcie wszyscy bez wyjątku tłumnie zgłaszali się do szeregów.

Poczta przychodziła całymi koszami do konsulatu, ze wszystkich krańców Argentyny, zgłaszano się także i pisemnie. Odległości w Argentynie są zbyt wielkie, proszono o wskazówki a nawet już o terminy wyjazdu . . .

Stałem przed konsulatem i śmiałem się radośnie i patrzyłem na chłopców, stojących w kolejce, widziałem jak inni już po formalnościach widzieli się oczyma wyobraźni na froncie i jak nieliczni jeszcze, którzy już przeszli badania komisji lekarskiej byli oglądani jak gdyby z szacunkiem i zazdrością. We wszystkich budziła się trwożna myśl: "czy aby lekarze mnie wezmą?"

Humor był powszechny, wesołość panowała, a wyczyny, których każdy publicznie przyrzekał dokonać na froncie, prześcigały się w fantastyczności . . .

Pięknie to wyglądało. Młodzi, starsi i dojrzali już mężczyźni /jak się później okazało, byli to weterani z 18 i 20 roku/ jedni w brudnych ubraniach wprost z pracy, drudzy, którzy już chęci do pracy nie mieli, oczekując niecierpliwie wyjazdu—wszyscy się już czuli braćmi w Wielkiej Sprawie.

A mnie przywodziła się przeszłość na pamięć. Legiony Dąbrowskiego. Obce ziemie. Marsz do Polski poprzez bitwy, poprzez lądy i morza. Powtarzamy piękną kartę historii naszej! Tworzymy legiony!

Nazwiska 146-ciu mężczyzn, Polaków z Argentyny przejdą do historii. Jest to pierwsza grupa, pierwszy transport ochotników do Armii Polskiej w Szkocji. Najlepszy element. Ci, którzy nie czekając przykładu od innych dali z siebie przykład, którzy nie przyszli się rejestrować po to, by "nie zadzierać z władzą," ale by ich od razu wysłano do oddziałów.

Pamiętnych 146. W większej części bezżenni, było przecież dużo takich, którzy opuścili żonę, wszyscy zaś rodziny. Było kilku jedynaków, którzy uciekli na okręt wprost z domu.

Byli dwaj reprezentaci Polonii brazylijskiej, dwaj młodzi chłopcy, bracia, urodzeni w Brazylii. Ojciec ich, który przed przeszło ćwierć wiekiem opuścił Polskę, wychowywał ich jednak w polskim duchu i wysłał ich na wojnę jako najstarszych synów, dwudziesto i dwudziestodwu letnich chłopców.

Byli także ochotnicy z Urugwaju, a wszyscy posiadali zawody, pożyteczne przy szkoleniu nowoczesnej armii. Mechanicy, kierowcy, stolarze, blacharze i wielu rolników, którzy znali traktory.

Zbliżał się dzień odjazdu. Utworzone towarzystwo opieki nad żołnierzem rozdawało paczki: swetry, skarpetki, ciepłą bieliznę. Było tego mało. Ale Polonia w Argentynie jest bardzo biedna, jednak symbolowi, tradycji stało się za dość. Towarzystwa polskie, związki urządzały zabawy. Tańczono, pito, żegnano się.

Goszczono wielu, którzy przyjechali z odległych prowincyj. Ale dzień wyjazdu miał nie nastąpić.

Tu się rozpoczyna drugi rozdział historii pierwszego transportu ochotników. Ambasada angielska nie przywiązywała początkowo wiele wagi do tego zaciągu ochotniczego. Jak to Anglik: "Spokojnie i powoli. Nie entuzjazmować się. Nie uznajemy niczyich przekonań, póki sami nie jesteśmy przekonani!"

Nie było okrętu. Nie było pieniędzy na karty okrętowe.

Tymczasem wszyscy wymówili już pracę i czekali daremnie na wyjazd. Konsulat stanął przed sprawą trudną do rozwiązania. Wyjazd się odwlekał. Trzeba było płacić utrzymanie i hotele, przede wszystkim tym, którzy przyjechali z prowincji. I rzeczywiście płacono. Jakoż i wkońcu ów wyjazd nastąpił.



"Swoja," argentyńska gazeta w Szkocji

Pewnego popołudnia, wsiedliśmy na olbrzymi okręt. W nocy tego dnia, ruszyliśmy. Podróż odbyliśmy w złych, wojennych warunkach. Angielska kuchnia 3-ej klasy dała się wszystkim we znaki. Wielu było już bez pracy na długo przed wyjazdem. Nie było pieniędzy. Nie było papierosów. 146 mężczyzn spało w hamakach, na jednej sali pod pokładem.

Ale duch panował dobry. Entuzjazm i chęć bicia Niemców. Byłoby niegodne, gdybym nie wspominał tu o komendancie transportu, także ochotniku, podporuczniku rezerwy, panu E.O. On to potrafił umiejętnie nadać transportowi charakter wojskowy. Wprowadził dyscyplinę, systemem pracy całodziennej. Odbywały się lekcje angielskiego, historii Polski, musztry, śpiewu oraz krajoznawstwa. Wydawano komunikaty prasowe.

Na tymże okręcie jechało wielu Francuzów /ochotnicy do armii gen. de Gaulle/, oraz wielu Anglików. W pierwszych dwóch dniach podróży pokład dzielący pierwszą i trzecią klasę był istnym murem chińskim. Ale gdy się zaczęły rozlegać polskie piosenki, wielu z nich przychodziło często do "*Polish boys,*" piło piwo i opowiadało "*about the excellent Polish airmen.*"

Wszyscy 146 przejęli się zupełnie duchem wojskowym z chwilą gdy wybrane przez komendanta transportu drużyny, rozpoczęły pełnić warty pospołu z marynarzami angielskimi, obserwując we dnie i w nocy niebo i morze w poszukiwaniu samolotów nieprzyjacielskich lub łodzi podwodnych. Drużyny te, już po kilku dniach doskonale władały karabinami maszynowymi. Tak więc, prócz współpracy w pełnieniu warty /za którą Linia Okrętowa przysłała podziękowanie do dowództwa w Szkocji/ zapanowała na okręcie atmosfera prawdziwej służby wojskowej, połączonej z rzeczywistym niebezpieczeństwem.

* * *

Niebezpieczna podróż dobiegała końca. W pewien pogodny wieczór zarysowały się na nieboskłonie masywy szkockich gór, a następnego dnia, w piękne, słoneczne południe, byliśmy w jednym z portów w Szkocji. Francuzi i Anglicy pierwsi opuścili okręt i rozlegały się okrzyki: "do zobaczenia się w Berlinie," "nos veremos en Berlin." "I see you again in Berlin."

Na okręcie powitali nas polscy oficerowie. Nareszcie. Mundury dawno niewidziane. I pierwsze, polskie słowo od rodaka z ojczyzny. Od nich dowiedziliśmy się, że następne transporty, znacznie większe od naszego, są już w drodze, że organizacja ich jest już ulepszona, że tylko my, jako pierwsi musieliśmy znieść warunki niezawsze łatwe. Duma wstąpiła w nas. Tej samej nocy, pociągiem odjechaliśmy do Szkocji.

Spokojne, szkockie miasteczko o świcie, zupełnie jakby wymarłe, czyste, górzyste i zda się, nic w ogóle nie wiedzące o wojnie, miasteczko kąpiące się stale w oparach swojego "chipsu," miasteczko; którego "przemysł" reprezentuje tradycyjna fabryka "jamu"—zostało zbudzone o wczesnym poranku dźwiękami orkiestry grającej wesołego marsza oraz stukiem licznych stóp o bruk. Pootwierały się okiennice, wyjrzały zaspane twarze, patrzą ze zdziwieniem . . . oficerowie i "kadra" otaczająca naszą kolumnę śmieją się z wyraźną radością, mówią coś do nich, śmieją się jeszcze bardziej, ale wnet i zaspane głowy w oknach przybierają inny wygląd, żywszy, uśmiechają się, życzliwie kiwają do nas głowami. To jest miasteczko szkockie, takie popularne "somewhere in Scotland," które dobrze zna nasze wojsko, to jest miasteczko, w którym będziemy zakwaterowani.

Rozpoczęło się uroczyste powitanie nas przez dowódcę pułku. Mowa. Następnie nie mniej uroczyste /i jakże pożądane/ śniadanie w ślicznie przystrojonej świetlicy /brawo, panie poruczniku P./, rozdawanie podarunków: kart pocztowych, czekolady i papierosów. Poczem kilka zdjęć, odmarsz do "koszar"—wspaniałego domu—i rozpoczęło się życie wojskowe.

Ale o tym kiedy indziej.

JAN GITLIN

Płyniemy ku Wam . . .

Od naszego korespondenta w Ameryce Południowej i wielkiego przyjaciela "Polski Walczącej" otrzymaliśmy ten wymowny artykuł wyrażający uczucia Polaków-emigrantów, którzy przybyli do nas z drugiej półkuli i tych, którzy tam, nie mogąc dołączyć do szeregów zostali. Choć ten artykuł dotarł przez ocean do naszych rąk dopiero teraz, choć go wyprzedzili sami ochotnicy—zasługuje napewno na to, aby pozostał na łamach tego pisma jako świadectwo o Polakach w Ameryce Południowej.

Płyniemy ku Wam spod Krzyża Południa ku Wielkiej Niedźwiedzicy. Przemierzamy południki i równoleżniki na ziemskim globie, niby miedze polne, bo czymże jest odległość ziemska dla Ducha wolnego narodu, który króluje w sercach naszych? — Przecież idziemy walczyć o oswobodzenie naszych najbliższych, tam, nad Wisłą umęczonych i o wolność całego Nowego Świata!

Daleka jest nasza droga, wiodąca ku wolnej Polsce. Płyniemy do Was, aż od wiecznie zielonego Paragwaju i od słonecznych wybrzeży Brazylii. Jak przed 24-ma laty Armia błękitna, lecimy na północ na zew Ojczyzny, niby sokoły rozproszone po dalekim świecie.

Porzuciliśmy ledwo zaczęte nasze warsztaty pracy w dalekich krajach, nasze gniazda rodzinne, umieszczone na obcych drzewach, bo krew braci naszych niewinnie przez wroga rozlana, wezwała nas do powrotu—i odwetu! Pragnieniem odwetu goreją nasze serca.

Płyniemy do Was, bracia z Północy, aby razem z Wami ostrzyć szpony na wrogów i runąć na nich wielką gromadą. Mało dotychczas wiedzieliśmy o sobie nawzajem, choć z jednego wywodzimy sie gniazda. Teraz poznamy się i pokochamy, przy wspólnym kotle kompanijnym, na polach ćwiczeń, przy manierce koleżeńskiej i na wspólnym, zwycięskim polu bitwy!

Rozdzielił nas kiedyś los równikiem i tysiącami mil Oceanu. Jednych smagały mroźne wichry Północy, drugich prażyło słońce Południa, odmieniła się nawet skóra na naszych ciałach, serca pozostały te same i duch w nas jednaki! Odmienne hodowały nas środowiska, obce kultury ryły ślady w naszych umysłach, lecz dusza polska pozostała nietknięta—i oto Ojczyzna daleka ma nas na zawołanie w nagłej potrzebie.

Płyniemy ku Wam cicho, bez trąbienia i parady. Nie wiecie nawet gdzie w tej chwili jesteśmy, bo wróg jest wszędzie i jest czujny . . . Już stopniowo niknie nam z oczu znak niebieski Krzyża Południa, do którego od lat przywykliśmy. Już na nieboskłonie majaczy sylwetka Wielkiej Niedźwiedzicy, starej znajomej z Ojczyzny. Jeszcze chwil parę, a uściśniemy Wasze spracowane i dzielne dłonie, dzierżące już karabin angielski, ster samolotu, kierownicę czołgu. . . Jeszcze chwila i my także ujmiemy w ręce te narzędzia do walki z wrogami.

Po drodze do wolnej Ojczyzny dopiero umówimy się, co sobie razem zaśpiewamy podczas wkraczania do Warszawy . . . i jak się to nam będzie żyło w Nowej Polsce !

Płyniemy ku Wam, czołowa kolumna Armii emigracyjnej z Południa.

Parana—w czerwcu 1941

WŁADYSŁAW WÓJCIK



Armia Polska w Kanadzie

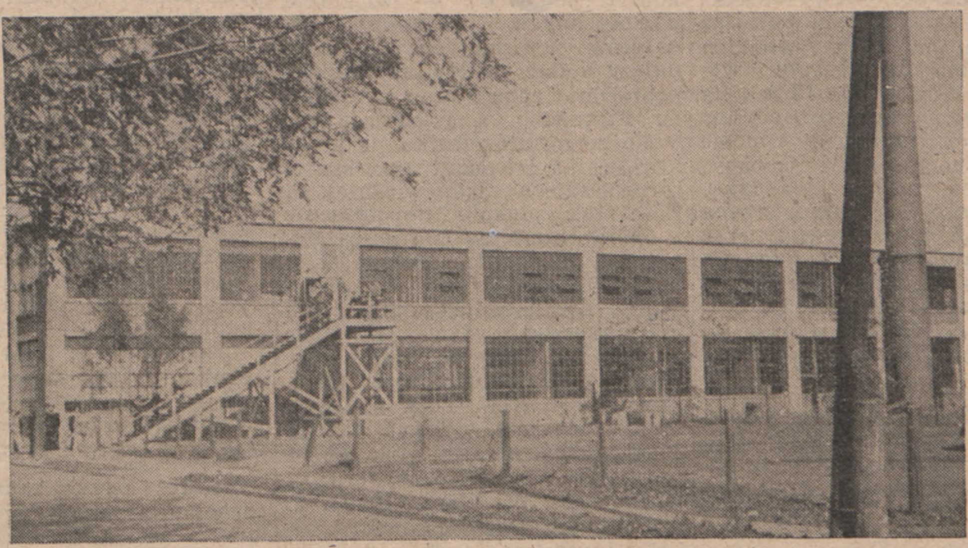
(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

"Armia Polska w Kanadzie." Brzmi to może nieco patetycznie, nieco przesadnie, a jednak . . . trudno byłoby uciec się do innego określenia. Bo Armia ta, mimo że jest właściwie drobnym zaczątkiem "Armii", reprezentuje coś znacznie większego, niż to, co składa się na całość dwuch doskonale zorganizowanych i zagospodarowanych obozów w Windsor i Owen Sound. "Armia Polska w Kanadzie"—to dla przeciętnego obywatela U.S.A. czy Kanadyjczyka uosobienie bohaterstwa i tradycji żołnierskiej, to już sława, z której korzysta każdy, ktokolwiek przywdzieje mundur polski.

Temu tylko, a nie czemu innemu należy przypisać bardzo duży napływ ochotników, rodowitych Amerykanów, którzy przed wojną nic, albo prawie nic o Polsce nie słyszeli. A dziś—przyjeżdżają do Windsoru z najdalszych zakątków U.S.A., z Kalifornii, New Mexico, z Texas. Pytani, co ich skłoniło do tego kroku — odpowiadają nieomal jednakowo:

— "Polish Army" ma najlepszą "publicity." Polskie lotnictwo nie ma sobie równego na świecie. Bo Polacy to urodzeni żołnierze . . . !

I tak już jest, że chodzimy tu w—niezawsze zasłużonej—glorii. Sytuacje czasami stają się żenujące. Tak było na przykład podczas pobytu delegacji wojska polskiego w Nowym Yorku; obcy ludzie zaczepiali nas na ulicy, prosząc o uściśnięcie im ręki, jakiś zapalczywy staruszek krzyknął do grupki amerykańskich żołnierzy, aby się przypatrzyli, jak wyglądają "prawdziwi żołnierze". Tak bywa czasami podczas różnych akademij i przyjęć oficjalnych, na których mówcy bardzo często zwracają się do nas per "bohaterzy".



Koszary w Windsor

Ta popularność zobowiązuje i nakłada nowe, niezawsze łatwe obowiązki. Faktem jest jednak, że mimo olbrzymich różnic językowych, wykształcenia i wieku, jakie są do zanotowania w obozach wojska polskiego w Kanadzie—wszyscy dokładnie zdają sobie sprawę, że służba ich jest również związana z pewnego rodzaju koniecznością reprezentacji i propagandy.

Trzeba przyznać, że na tym polu "Polish Army" jest poza konkurencją. Ta popularność stała się pewnego razu nawet kością niezgody pomiędzy żołnierzami polskimi w Owen Sound, a żołnierzami kanadyjskimi, którzy—nie widząc innej możliwości odzyskania utraconych względów niewieścich—postanowili wywalczyć je siłą pięści . . . ale i tu nastąpiła porażka. Od tej pory panuje już idealna zgoda, a Kanadyjczycy co raz tłumniej zalegają kantynę polskich koszar, gdzie, przy niedzieli, można spotkać najpiękniejsze mieszkanki Owen Sound.

Nie tylko na tym polu Polacy /. . . i Amerykanie służący w Polskiej Armii, którzy na gwałt uczą się po polsku/—są "hors concours." Z polską drużyną piłki nożnej jeszcze nikt nie wygrał meczu. Nikt tak nie tańczy, jak Polacy. Nikt nie jest taki wesoły i nikt nie umie tak rzewnie śpiewać /radio w Owen Sound nadaje co tydzień godzinę polskich piosenek, w wykonaniu chóru żołnierskiego/. Nikt tak nie maszeruje! Nikt tak . . . !!! Co tu mówić. Wystarczy przejrzeć gazety, zarówno polskie, jak i amerykańskie, w których bez przerwy ukazują się zdjęcia i reportaże z życia Armii Polskiej w Kanadzie.

Jeden jest tylko kłopot i to poważny—z ochotnikami amerykańskiego pochodzenia. Oni chcą walczyć, chcą od razu być "na froncie," bombardować Berlin, jechać do Afryki. Polakom te sprawy wytłumaczyć łatwiej, łatwiej jest zresztą z nimi się dogadać, mimo ich wychowania amerykańskiego. Rodowici Amerykanie, z natury, w większości wypadków, poszukiwacze "wielkiej przygody"—kiwają głowami i zgadzają się jedynie na ustępstwo, że . . . "koniecznie z najbliższym transportem do Anglii." Szczególnie czują się tu pokrzywdzeni "pancerniacy," bowiem dotychczas zaszczyt wyjazdu do Anglii przypadł jedynie w udziale lotnikom i marynarzom.

Do wyjazdu tego broń pancerna przygotowuje się bardzo solidnie. Codziennie na pagórkach i polach, otaczających malutkie, śliczne Owen Sound—warczą motory *carriers*'ów, grzechoczą seriami "Breny," rozlegają się piekielne, "bojowe" okrzyki atakujących. Pacyfistyczni miłośnicy rybołóstwa z Owen Sound z przerażeniem wyglądają przez okna i wyrażają najgłębsze przekonanie, że nie chcieliby nigdy być nieprzyjaciółmi Polaków.

Nie można nie wspomnieć tu o fakcie najważniejszym i radosnym, że ta "Armia Polska w Kanadzie" mimo trudności, mimo powątpiewań tych i owych, mimo wspaniałej koniunktury na rynku pracy—rośnie i to co raz bardziej widocznie, z co raz większym rozmachem. Zdarzają się już dni, że Ośrodek Rekrutacyjny w Windsor nie może sobie poradzić z ilością ochotników, że komisja lekarska musi pracować od rana do późnej nocy.

ZENON PIWARSKI

Sylwetki żołnierskie

Pierwsza Kompania Szkolna—wojsko pancerne—w Owen Sound jest bogato wyposażona w materiał ludzki. Kogo tam nie ma. Są przede wszystkim Polacy, są Amerykanie, są Ukraińcy a nawet Anglicy. Są starzy żołnierze, starzy i wiekiem i doświadczeniem /jest kilkunastu żołnierzy, którzy dawno przekroczyli czterdziestkę i służyli w Armii Polskiej 20 lat temu/, są stare wygi, którzy byli w niejednym kraju i z niejednego pieca chleb jedli, są wreszcie młodziki, którzy stawiają pierwsze samodzielne kroki w życiu, do których uśmiecha się świat i którzy z uśmiechem na ustach idą w nieznane.

Pierwsza Kompania Szkolna to jedna wielka galeria rozmaitych typów aż proszących się o pędzel malarza lub ołówek karykaturzysty. Niestety. Nie znam się na tym rzemiośle. Postaram się natomiast skreślić sylwetki poszczególnych żołnierzy. Ograniczę się do kolegów z mojej drużyny, bo zżyłem się z nimi, znam ich radości i smutki, ich marzenia na daleką przyszłość.

Każda drużyna w Kompanii stanowi samodzielną, zamkniętą w sobie jednostkę. Jest to jak gdyby jedna wielka rodzina, która się różni od przeciętnej rodziny tym tylko, że składa się wyłącznie z przedstawicieli rodzaju męskiego. Głową rodziny jest drużynowy. On jest odpowiedzialny za drużynę wobec przełożonych, on opiekuje się chłopcami na ćwiczeniach, do niego się zwracają żołnierze ze swoimi sprawami służbowymi i osobistymi. Poza tym jednak cała odpowiedzialność za wygląd żołnierzy i za porządek na sali sypialnej spada na barki jego zastępcy.

O drużynowych niewiele można powiedzieć, bo to lotne ptaki—stale uciekają na górę, do drużyny zjawiają się jedynie przy zbiórce porannej, popołudniowej, zbiórce do rozkazu i . . . późną nocą spać. Zaczniemy więc od ich zastępców. W 1-szej drużynie zastępcą drużynowego był /piszę był, bo w ostatnim dniu mego pobytu w Owen Sound został przeniesiony do drużyny 7-mej/ *st. strz. Zygmunt D.*

Liczy sobie 41 wiosen, jest średniego wzrostu przy rozłożystych ramionach, waży 200 funtów z nawiązką. Jest stateczny, spokojny, opanowany. Uśmiecha się rzadko, bo przeszedł twardą szkołę życia, a los nie był dlań łaskawy. W Kanadzie mieszka już 15 lat. Służył w swoim czasie w wojsku w Polsce, ostatnio służył w Armii Kanadyjskiej. Drużyną opiekuje się niczym matka. Udziela praktycznych rad i wskazówek młodszym kolegom, nie pozwala wykorzystywać ich przez starszych, gdy któryś znajdzie się na izbie chorych przypomina, aby zanieść mu posiłek i zapytać czy czego nie potrzebuje. Jednym słowem idealny zastępca drużynowego.

Pewnego wieczoru Zygmunt położył się spać wcześniej niż zwykle. Widocznie trapiły go jakieś sny niespokojne, bo przewracał się z boku na bok przez całą noc. Nazajutrz tajemnica się wyjaśniła. Przyszedł do mnie z grubo wypchaną kopertą. Był wyraźnie zdenerwowany i z zakłopotania przebierał palcami we włosach. Ma brata stale mieszkającego w Cleveland, Ohio. Nie widział go 38 lat. Chciał skorzystać z pierwszego urlopu, aby złożyć mu wizytę. Napisał przeto list do Konsulatu Amerykańskiego z prośbą o udzielenie mu wizy wjazdowej na dwa tygodnie. Konsulat odesłał go do Departmentu Stanu w Washingtonie. Stamtąd otrzymał list z pliką załączników, jak: specjalne instrukcje, aplikacje do wypełnienia, w których między innymi były pytania odnośnie stanu majątkowego brata, zdolności samodzielnego utrzymania się petenta i t.p. Widocznie niezbyt jasno przedstawił sprawę i władze zrozumiały, że stara się o zwyczajną wizę imigracyjną.

Biedny Zygmunt. Niewiele mogłem mu pomóc. Poradziłem zwrócić się z tą sprawą do bezpośrednich przełożonych, bo w przeciwnym razie długo musiałby czekać na widzenie się z bratem.

Przeciwstawieniem Zygmunta, jest młody, szczupły, śmigły jak topoła *st. strz. Jan K.*

Wielu kolegów nie może zrozumieć Jasia. Wbrew wszelkim prawom młodości chodzi zadumany, unika kompanii, szuka samotności. Zmienił się zupełnie od czasu opuszczenia Windsoru. Nie chcąc go spłoszyć, nie pytałem o przyczynę tej gwałtownej zmiany. Zacząłem go ukradkiem obserwować. Jasio wcześnie kładzie się do łóżka, a jednak we dnie jest niewyspany. Co robi więc w nocy. Widocznie zamiast spać—marzy. W chwilach wolnych od zajęć można go zauważyć siedzącego w świetlicy i piszącego całymi godzinami. Często też otrzymuje grube listy. Zdaje się, że odkryłem przyczynę—Jasio jest zakochany. W przekonaniu tym utwierdziły mnie regularne wyjazdy Jasia na week-endy do Toronto.

Benjaminkiem Kompanii jest *strz. Richard T.* Młody, rosły, zawsze roześmiany, reprezentuje jednocześnie tężyznę fizyczną i pogodę ducha. W żyłach jego płynie krew angielska i francuska. Z usposobienia przypomina raczej Polaka. Przypomina go także inteligencją i nadzwyczajną zdolnością przyswajania sobie języka polskiego. Z biedą rozmówi się po polsku, potrafi wypowiedzieć bez błędu najtrudniejsze słowa bez obcego akcentu, a nawet operuje pełnymi zdaniami.

Ogólną wesołość budzi kiedy przy raporcie rannym Richy prosi o przepustkę. Wyprostowany jak struna recytuje bez zająknienia: "Panie Poruczniku, strzelec Travers prosi o przepustka do godziny drugiej." Porucznik chętnie udziela przepustki, bo wie że Richy i tak przed dwunastą będzie w koszarach. Kiedy go pytają dlaczego bierze przepustkę do drugiej a wraca tak wcześnie, odpowiada spokojnie: na wszelki wypadek—wolę być w koszarach dwie godziny wcześniej, aniżeli spóźnić się pięć minut.

Ciekawy jest motyw, dla którego /przynajmniej tak twierdzi/ Richy zapisał się do Armii Polskiej. Jest z zawodu ujeżdżaczem koni. Za konia oddałby duszę. Czytał wiele pochlebnych uwag o niezrównanej kawalerii polskiej, chciał zostać polskim ułanem. Początkowo miał kwaśną minę, bo na razie, i to tylko dorywczo, ma do czynienia wyłącznie ze stalowymi rumakami. Pogodził się jednak szybko z losem. Obiecuje sobie, że po skończonej wojnie osiądzie na stałe w Polsce i w jednym z odebranych Niemcom majątków założy wzorową stajnię.

Richy słynie w całym Obozie z niesłychanej siły i wytrzymałości. Kiedy założy rękawice bokserskie i stanie do walki, nikt nie może dotrzymać mu kroku. Pomimo że nie rozporządza atutami technicznymi, potrafi "wykończyć" sześciu przeciwników.

Uosobieniem zimnej krwi i przysłowiowej angielskiej flegmy jest spokojny, dobrze ułożony *strz. Jackson L.* Urodził się w Anglii, lata chłopięce spędził w Polsce, mieszkał kilka lat w Norwegii, ostatnio pracował w New Yorku. Jackson /wszyscy wołają go po imieniu, sądząc że jest to jego nazwisko/ uczy się również szybko języka polskiego, nie może jednak dorównać Ryszardowi. Z tego powodu wywołuje wiele nieporozumień. Na zbiórkach staje zawsze w pierwszym szeregu trzeci z prawego skrzydła. Przyzwyczajony do komendy: do dwuch, odlicz! Jackson automatycznie odlicza "Raz" zamiast "Trzy" na komendę: kolejno, odlicz!

Jackson podobnie jak Richy zamierza po skończonej wojnie osiedlić się na stałe w Polsce i tam znaleźć sobie warsztat pracy.

* * *

W rozmowach z kolegami, zarówno rdzennymi Amerykaninami jak i Amerykaninami polskiego pochodzenia, uderza jeden znamienny fakt: niemal wszyscy wyrażają ochotę osiedlenia się w Polsce. Jedni planują założenie samodzielnych przedsiębiorstw w wielkich miastach, inni /i to jest najbardziej nieprawdopodobne dla stosunków amerykańskich!/ marzą o ciszy i spokoju życia na wsi. Jadąc z transportem do Owen Sound rozmawialiśmy o tym, gdzie się osiedlimy i co będziemy robić w Polsce po skończonej wojnie. Jedni opowiedzieli się za Warszawą, inni za Lwowem, jeszcze inni za Wilnem, większość marynarzy za Gdynią, Gdańskiem i Królewcem. W końcu odezwał się jeden z lotników, młody, jasnowłosy chłopiec:

—I ja lubię wielkie miasta, ale tylko wtedy, gdy wpadam do nich na krótko. Na dłuższą metę nie zniósłbym zgiełku wielkomiejskiego życia. Moim marzeniem jest dostać kawałek ziemi, założyć rodzinę i pędzić życie spokojne, niezależne . . .

Łza wzruszenia zakręciła mi się w oku, poczułem skurcz w gardle. Moja wioska rodzinna, moi najbliżsi, wszystko to zlało się w jeden niewyraźny obraz. Nie mogłem rozpoznać twarzy, nie mogłem odnaleźć mojej chaty. Czy odnajdę ją kiedyś, czy spotkam moich rówieśników?

JAN KOWALSKI

Ochotnicy przed komisją lekarską



Fasowanie obiadu



Wojna na morzu

Główne zainteresowanie świata nadal skupia się na Dalekim Wschodzie. Powodzenia Japończyków, które zdaje się znacznie przekroczyły ich własne nadzieje, zmuszają Sprzymierzonych do przyśpieszania przygotowywanej kontrofensywy morskiej. Tu i ówdzie przeciwuderzenia Sprzymierzonych zaczynają nareszcie pokazywać ich prawdziwą siłę. Tak było przy pierwszej bitwie w cieśninie Macassar (między Borneo i Celebes), tak było w bitwie morskiej u wybrzeży wyspy Bali, tak wreszcie okazało się przy drugiej bitwie w cieśninie Macassar i w bitwie u wybrzeży Jawy.

Wszystko to jednak są raczej "odgryzania się" drapieżnego tygrysa zapędzonego w odległą jamę, który dopiero zbiera siły do skoku . . . Nie należy spodziewać się rychłych sukcesów.

PATRZCIE NA MAPĘ!

Nigdy bowiem nie dosyć powtarzania za prezydentem Rooseveltem: "patrzcie na mapę, patrzcie na mapę." Dopiero bowiem ten, kto umie czytać odległości może zrozumieć niemożliwości i możliwości zjednoczonych flot wojennych Sprzymierzonych na oceanie Spokojnym.

I tak z San Francisko do Yokosuka (basa japońska w Japonii) jest 4,530 mil morskich (13 dni drogi przy szybkości 15 węzłów), z Zatoki Pereł na Hawajach do Yokosuka—3,375 mil morskich (ponad 9 dni drogi), z Zatoki Pereł do Sydney (Australia)—4,600 mil (13 dni drogi), z zatoki Pereł do Auckland (N. Zelandia) —4,500 mil (12 i ½ dni drogi). Z Panamy do Aukland (N.Z.)—6,100 mil (17 dni drogi), z Fremantle (Zach. Australia) do Surabaya (Jawa) 1,850 mil (5 dni drogi), z Port Darwin (Au.) do Surabaya—1,750 mil (4 i ½ dnia drogi).

Wszystkie obliczenia "na czas" stosują się do szybkości statków pasażerskich, których przeciętna szybkość ekonomiczna wynosi 15, 16 węzłów. Dla okrętów wojennych, n.p. krążowników szybkość ta ("ekonomiczna") na dalekie odległości nie jest również większa. Każde zwiększenie szybkości daje wzrost zużywanych materiałów pędnych, co przy bardzo wielkich odległościach jest niewykonalne. Dla tego najprawdopodobniejszą szybkością na tak wielkich odległościach dla eskadr wojennych, jest od 10 do 15 mil na godzinę. Gdy z takim transportem idą również tankowce ropowe i statki pomocnicze, szybkość ta maleje jeszcze bardziej. W ten sposób obliczając, trzeba przypuszczać, że rzeczywisty czas trwania transportu wojennego z Panamy do Auckland na Nowej Zelandii wynosi od 14 do 20 dni.

JESZCZE O SILE MORSKIEJ STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Również nie dość jest powtórzyć raz jeden, że wszelkie plotki na temat klęski amerykańskiej w Zatoce Pereł, która miała rzekomo znacznie przekraczać dane oficjalne, są wyssane z palca.

Okręty zatopione w Zatoce Pereł w dniu 7 grudnia 1941 r. były to kręty liniowe : Arizona i Oklahoma, nowoczesne kontrtorpedowce Cassin, Downes i Show oraz 2 okręty pomocnicze o małym znaczeniu: stary Utah (okręt-cel dla artylerii) i Oglala. Pewna ilość innych okrętów została uszkodzona. Nie ma powodu nie wierzyć podsekretarzowi Stanu do spraw morskich pułk. Knox, który niedawno ogłosił, że te uszkodzone okręty znajdują się znowu w służbie czynnej.

Uwzględniając straty ostatnie U.S.A. należy stwierdzić, że w chwili obecnej siły morskie Ameryki na Oceanie Spokojnym (o ile nie zostały wzmocnione okrętami z Atlantyku) przedstawiają się jak następuje:

10 okrętów liniowych: Colorado (bud. 1921 r.), West Virginia (1921), Maryland (1920), California (1919), Tennesee (1919), Idaho (1917), Mississipi (1917), New Mexico (1917), Pennsylvania (1915), Nevada (1914).

4 lotniskowce: Enterprise (1936), Yorktown (1936), Lexington (1925) Saratoga (1925).

12 ciężkich krążowników, 13 lekkich krążowników, ponad 100 kontrtorpedowców — większość nowoczesnych, najmniej 30 okrętów podwodnych. Do tego należy dodać "flotę azjatycką," poprzednio zabazowaną w Cavite na Filipinach, a składającą się z ciężkiego krążownika, lekkiego krążownika i około tuzina kontrtorpedowców. To właśnie ta flota tak pięknie współpracuje z Holendrami w cieśninie Macassar i przy wyspie Bali.

Na Atlantyku "oficjalnie" Stany Zjednoczone miały (jeśli nie przerzuciły tych sił gdzie indziej): 5 okrętów liniowych: Washington (1940), North Carolina (1940), New York (1912)—zmodernizowany, Texas (1912 zmod, Arkanzas (1911)—zmod.

3 lotniskowce: Hornet (1940), Ranger (1933) i Wasp (1939).

5 ciężkich krążowników.

5 lekkich krążowników.

Z górą 70 kontrtorpedowców. Około 50 okrętów podwodnych. Około 50 ścigaczy. Z górą 100 okrętów przeciw okrętom podwodnym (korwet) i wielka ilość okrętów pomocniczych.

Na stoczniach Stanów Zjednoczonych znajduje się olbrzymia, niespotykana w dziejach ilość okrętów wojennych w budowie i to zarówno okrętów liniowych i lotniskowców , jak i krążowników, okrętów podwodnych i kontrtorpedowców.

Czy ta wielka potęga, łącznie z potęgą Wielkiej Brytanii zdoła pokonać . . . czas i przestrzeń? Oto jest główne pytanie. . . . Przez pokonanie bowiem i czasu i przestrzeni wygrywa się tę największą wojnę w dziejach na oceanach całego świata. "Przetrzymać i przepłynąć," oto zagadnienia najważniejsze obok . . . bić dobrze i umiejętnie, a zawsze ofensywnie.

"Samym bronieniem się nigdy wojny nie wygramy"—powiedział premier australijski. Trudno się z nim w tym wypadku nie zgodzić.

STRATY JAPOŃCZYKÓW

Japończycy zdobyli swoje powodzenia dzięki znakomitemu przygotowaniu, dobremu wyborowi baz, dzięki idealnemu zaskoczeniu Sprzymierzonych i dzięki niewątpliwie energicznej i ofensywnej działalności wszystkich rodzajów broni w powietrzu, na lądzie i na morzu. Jako zaś marynarze i żołnierze "Japs'y" byli i widocznie są groźnymi i bitnymi przeciwnikami. Dobrze sobie te prawdy uświadomić. Mocno je podkreśla prasa tak angielska, jak i amerykańska. Nie wiem czemu Polacy skłonni są uważać, że propaganda jest to . . . lekceważenie i pomniejszanie wartości przeciwnika. Tymczasem większym zaszczytem jest zwyciężyć bitnego i dzielnego przeciwnika, niż przepędzić tchórzów i niedojdów.

To też straty zadane Japończykom na morzu (przez Anglików, Amerykan i Holendrów) należy przyjąć z całym respektem dla naszych Sprzymierzonych, którzy pokonując w wielu wypadkach na morzu takiego przeciwnika dają samym sobie świadectwo, że walczą dzielnie i skutecznie. I tak, pomimo wszystkich przewag japońskich (zaskoczenie, bazy i t.p.), według ostrożnych danych amerykańskiego Departamentu Morskiego straty japońskie wygladają jak następuje:

	Zatopiono	Uszkodzono
Okrętów liniowych	1	3
Krążowników	7	21
Kontrtorpedowców	12	11
Okrętów podwodnych .	9	2
Lotniskowców	1	2
Transportowców	79	47

Ciekawa jest uwaga pism amerykańskich, że wszystkie okręty japońskie, spotykane dotychczas na morzu, należały do "starszych roczników japońskiej floty," gdy nowocześniejsze okręty, jak dotychczas, są trzymane w rezerwie.

ZWIĘKSZENIE STRAT TONNAŻU HANDLOWEGO

"Bitwa o Atlantyk" przerodziła się, z chwilą wejścia do wojny Stanów Zjednoczonych i Japonii, w "Bitwę siedmiu mórz", jak obrazowo nazwał Pierwszy Lord Admiralicji rozszerzenie się zmagań morskich na cały świat.

To powiększenie terenu działań dało w sumie gwałtowny wzrost strat w tonnażu handlowym Sprzymierzonych. Tak należy rozumieć ostatnie oświadczenie w Parlamencie Brytyjskim zarówno Premiera, jak i Pierwszego Lorda Admiralicji, że w ostatnich 2 miesiącach (styczeń i luty 1942 r.) ilość zatopionego tonnażu Sprzymierzonych podskoczyła bardzo znacznie.

Na Atlantyku straty Sprzymierzonych nie podniosły się specjalnie, tym bardziej, że flota podwodna Hitlera nadal zajęta jest mocno na Morzu Śródziemnym . . .

KRYTYKA W PARLAMENCIE

Nigdy może nie padały w Izbie Gmin tak ostre słowa krytyki pod adresem Pierwszego Lorda Admiralicji, jak na posiedzeniu w dniu 26 lutego 1942 r. . . . Specjalnie wyróżnił się w tej krytyce poseł Admirał Sir Keyes, który nawoływał do szybszych decyzji i energiczniejszej działolności ofensywnej. We wszystkich tych krytykach, często nawet bez specjalnego dobierania słów, uderzało jednak wielkie uznanie i podziw dla niezmordowanej i ofiarnej pracy i dzielności *British Navy*, a krytyka obracała się głównie wokół sposobów prowadzenia wojny i wokół popełnionych błędów.

Ostatnie energiczne wystąpienia Floty Brytyjskiej (walki na Dalekim Wschodzie, desant spadochronowy z udziałem floty na wybrzeże Francji i t.d.) wskazują, że na całe szczęście, krytyka ta była pozytywna i w części tylko uzasadniona. Wspaniały duch Nelsona we Flocie Brytyjskiej żyje nieprzerwanie.

1 marca 1942 r. Londyn.

BOHDAN PAWŁOWICZ

Bez black-outu

Wczoraj dostałem list z Oxfordu. W pierwszej chwili myślałem, że mi proponują wykłady bezblackoutowe na tamtejszym uniwersytecie, ale po otwarciu koperty okazało się, że w tym uroczym zakątku wiedzy, w tym tradycyjnym mieście spokoju, nauki i wielkiej myśli ludzkiej mieszka nie kto inny, tylko moja korespondentka Barbara L., która nadesłała właśnie list drugi. Tym razem Barbara L. namawia mnie do walki z . . . Anglikami.

"Gospodarze nasi, owszem, bardzo mili, ale wcale nie bez błędów, szczególnie nie bez tych, którymi nas Pan tak kamienuje. Tutaj /i w ogóle zagranicą /widzę raczej same błędy; wszystko gorzej i gorsze niż u nas. Można by na każdym powtarzać kroku: "wy do nas przyjedźcie na naukę, bo u nas wszystko lepiej i lepsze."

Może Pani spróbuje im pierwsza tak wygarnąć, Droga Pani Barbaro? I to właśnie tym "gospodarzom," którzy Panią prosto z okręciku przyholowali do ciepłego pokoiku, dali "nice cup of tea," okazali współczucie, a teraz w codziennym życiu odnoszą się jak do dobrej znajomej i każdego ranka pozdrawiają Panią uśmiechem i tradycyjnym: "lovely morning." Czy naprawdę potrafiłaby Pani w tych warunkach im tak . . . prosto z mostu? E . . . chyba nie.

Przecież mieszka Pani napewno w pokoju, który był do niedawna "roomem" jednego z synów gospodarzy. Synowie są na froncie: jeden na Dalekim Wschodzie, drugi w Libii, trzeci jest lotnikiem w R.A.F. Gospodarze napewno pilnie obserwują i Panią i znajomych Pani rodaków, zapytując siebie nawzajem, czy Polacy w tych warunkach robią wszystko, co leży w ich możliwościach dla zwycięskiego zakończenia wojny?

Odmawiam walki z Anglikami i ich wadami jeszcze z innego, już nieco mniej uczuciowego powodu. Krytyka ich własna: parlamentarna, publicystyczna, krytyka prasy brytyjskiej jest tak bezwzględna, tak niespotykanie szczera, moralnie wysoka, a przy tym taka prosta, że nie chcę im zadawać trudu przekładania felietonu "Bez blackoutu" na angielski, skoro odrazu, we własnym języku, mają codziennie prawdy wyłożone bez ogródek. Myślę, że w Oxfordzie nietrudno o gazety. Czy znana jest Pani kampania prasy brytyjskiej po upadku Singapore? Czy czytała Pani chociaż tytuły gazet po incydencie na Kanale? Oni nie mydlą sobie oczu. Oni w chwilach zwycięstwa i w chwilach porażek mówią prawdę. Na prawdzie zbudowali bowiem swoje życie. A my? Pisze Pani:

"Ktoś, kto Polaków nie zna, a przetłumaczy mu /!/ pańskie artykuły niepiękne o nas będzie miał pojęcie."

Czy przypuszcza Pani, że artykuły prasy brytyjskiej, krytykujące rząd nie są najpóźniej w przeciągu 48 godzin tłumaczone na język niemiecki Goebbelsowi? A jednak Anglicy piszą dalej i to jak. Nie zgadzając się na walkę z Anglikami, zgadzam się na stałe przekłady felietonów "Bez blackoutu" podjęte przez Panią dla Anglików. Niech wiedzą, że rozmawiamy szczerze, bez zakłamania o naszych słabostkach i kłopotach, że zdaleka od Kraju, na tej właśnie wolnej ziemi brytyjskiej, staramy się angielską metodą powiedzieć sobie, w miarę możności całą prawdę w oczy, by kiedyś było nam lepiej, sprawiedliwiej . . . Niech Pani tłumaczy, Pani Barbaro, oni nie przestaną Pani szanować. Krytyka jest w tym kraju żywiołem wyzwalającym i rozbrajającym ukryte zło niedopowiedzień. Oni zrozumieją.

Ten drugi list Pani zmartwił mnie szczerze jako jeszcze jeden objaw niepoprawnej naszej polskiej natury, która tak ciężko przyswaja sobie pewne prawdy, która z rozkoszą zamyka się w skorupie bombastycznych zakłamań, dalekich od trudnej rzeczywistości, trącącej dziś już . . . myszką zapatrywań i anachronizmem poglądów. Nie tędy droga, nie tędy nawet ścieżka do Nowej Polski. Trzeba zawrócić Pani Barbaro, póki czas. Tym więcej, że jak wynika z gorących Pani słów kocha Pani Polskę całym sercem, jak każdy z nas:

"Nam Polakom właśnie, może z powodu okresów niewoli brak dumy narodowej, a kto; jak właśnie my, mamy do tego prawo. Okazało się to przecież we wrześniu 1939, no i teraz ciągle się to okazuje. Niestety, zdaje się, że zbyt wielu z nas choruje na kompleks niższości narodowej."

Szereg pomyłek. Nam Polakom nie brak dumy, przeciwnie nadprodukcja dumy dokucza. Dumą wojny nie wygramy. Co ma do tego wrzesień 1939? Wrzesień jest wyrzutem krwawym pod adresem tych właśnie, którzy w dumie narodowej drzemali, którzy w dumie narodowej twierdzili, że za "siedem dni będziemy w Berlinie," pod adresem tych, którzy z dumy narodowej nie dozbroili należycie ofiarnego żołnierza polskiego. Wrzesień 1939 jest całkowicie własnością niedozbrojonych bohaterów polskich, jest wielką kartą historii Polski jako pierwszego bastionu przeciw agresji niemieckiej. Ale nie może i nie powinien mieć nic wspólnego z dumą narodową. Oddajmy wrzesień saperowi, który wysadził most razem ze sobą, oddajmy wrzesień ułanowi polskiemu, który padł w szarży na czołgi niemieckie, oddajmy wrzesień małym tankietkom polskim, które rozwijały szaleńczy, samobójczy szyk bojowy przeciw ogromowi żelaza i ognia nieprzyjacielskiego.

Wrzesień nie należy ani do Pani ani do mnie, Droga Pani Barbaro. Duma narodowa, o której Pani wspomina, oplata groby nieznanych żołnierzy polskich w lasach, w górach, na polach . . . Pamięć o nich, o ich ofiarach trwa jak wyrzut pod adresem tych właśnie, którzy mimo tak ciężkich doświadczeń, próbują dziś jeszcze kołysać nas do snu, w dumie narodowej kryjąc prawdę naszych wad i błędów. Dlatego trzeba zawrócić z tej drogi, dlatego obowiązuje nas tutaj choćby najbardziej brutalna prawdomówność, choćby najbardziej ryzykowna odwaga cywilna. To jest nasz obowiązek.... To są skromne próby wyrównania wielkiego, tragicznego długu wobec . . . Września.

Nikt z nas nie choruje na kompleks niższości narodowej, przeciwnie: tyle ośrodków pracy i walki polskiej zwiedziłem i nie spotkałem się nigdy i nigdzie z takim objawem. Nasi mechanicy są w brytyjskich warsztatach nie tylko szanowani, ale wprost podziwiani, są często powodem wielkich kłopotów dla mniej szybkich w pracy Anglików. Nasi dopingują "tempo" i jakość w fabrykach brytyjskich. Lotnicy nasi są stawiani ciągle za wzór, na ich piersiach widzi się co raz częściej brytyjski D.F.C. Otacza ich szacunek władz i podziw kolegów brytyjskich. Marynarze nasi raz po raz dostają pochwały. Admiralicja daje im odpowiedzialne zadania operacyjne. Gdzie jest ten kompleks niższości?

Znam jedną dobrą radę na zaspokojenie kompleksu niższości: praca. Intensywna, pożyteczna praca. Pisze właśnie do mnie ktoś odpowiedzialny, ktoś dobrze zorientowany z naszych sfer lotniczych:

"Trudno było bardzo znaleźć takie panie wśród Polek, które by chciały naszym myśliwcom, marznącym na dużej wysokości, przygotować ochraniacze wełniane na kolana."

Kurtki lotnicze są krótkie. Buty wysokie nie dochodzą do kolan. Sprawa bardzo prosta: lotnicy marzną w kolana na dużej wysokości. Oto kompleks wyższości—co? Więc może by tak zorganizować Droga Pani Barbaro, warsztat ochraniaczy wełnianych na kolana myśliwców polskich. Napewno na tej wysokości zadania pożytecznego opuszczą Panią myśli o polskim kompleksie niższości i wywietrzeje niepotrzebna "duma" narodowa. Wystarczy jedna prosta myśl: ktoś tam w górze będzie bronił brytyjskiego nieba w barwach polskich mając na kolanach ciepłe owijacze wełniane, utkane ręką pani.

Pisze Pani:

"O ile mi Bóg pozwoli wrócić do Polski, sądzę będę mądrzejsza, o wiele mądrzejsza."

Daj Boże, daj Boże!

"Zaręczam panu, że ani ja, ani moje dzieci, nie zapragną nigdy zagranicznych kąpieli, bo wytworniejsze. Nigdy słowem nic złego o tym co polskie albo w Polsce nie powiem. Nigdy na korzyść jakiegokolwiek zagranicznego człowieka lub kraju."

E,myślę, że po skończonej zwycięskiej wojnie zrobi Pani jakiś wyjątek np. na rzecz . . . Churchilla albo Roosevelta?

"Nie ma kraju z ludźmi-aniołami, Wszędzie się kłócą, wszędzie znajdzie pan ludzi niegrzecznych, ordynarnych, nawet w krajach, gdzie uprzejmość jest przysłowiową cechą charakteru—rzekomo. Sądzę, że niejedną książkę można by napisać o tym jak bardzo Polacy przewyższają inne narody . . .

"Pan widzi za granicą zalety tylko—ja wady. Wiem, że nie zmieni pan zdania i nadal w swoich artykułach będzie wyszydzał, wytykał nasze błędy, wyszukiwał i zachwycał się cudzymi zaletami. Może znajdzie się ktoś jeszcze, kto zagranicą pisać będzie, jacy my jesteśmy na prawdę, jakie mamy zalety, ile od nas trzeba by uczyć się i nauczyć."

Niewątpliwie. Tylko nie my mamy o tym pisać. Nam wolno znać nasze zalety, ale trzeba nam mówić o naszych wadach. A nie odwrotnie. Żeby Pani pełniej zrozumiała moje stanowisko w tej sprawie, rozpoczynam od tego felietonu wyszukiwanie "cudzych zalet." Ostatnio zachwycam się np., artykułem p.t. "Girls refuse to serve Germans" zamieszczonym w "The Bulletin" z dn. 11 lutego:

"Panny sklepowe w pewnych miastach brytyjskich oburzone są tym, że muszą sprzedawać różne towary oficerom niemieckim, podczas gdy wielu obywateli brytyjskich z niczym odchodzi ze sklepów wskutek braku towarów. Ci oficerowie—to jeńcy niemieccy. Wiele panien sklepowych oświadczyło swoim szefom, że nie będą obsługiwać Niemców, chociażby miały stracić posady."

Jak wynika z tego i z dalszej treści artykułu oficerowie niemieccy, pozostający w niewoli na tutejszej wyspie nie tylko odwiedzają sklepy pod eskortą, ale przychodzą także czasem do kawiarni. Jest to nieprzyjemne dla nas, ponieważ równocześnie dowiedzieliśmy się, że naszym oficerom, będącym w niewoli niemieckiej, zakazano chodzenia po Berlinie i Bremie, oraz uczęszczania do kawiarni i do kina, a to z tego względu, że na Bremę i Berlin "chodzą" często nasi lotnicy z Anglii i . . . zachowują się zbyt głośno.

Wyławiam, co mogę, jak Pani widzi. Wiem np. że w transporcie oficerów-jeńców niemieckich na brytyjskim okręcie do Kanady, spali oni w salonkach okrętowych, a jadali lunch przed oficerami brytyjskimi i sprzymierzonymi w restauracji I klasy. Ale tymi "zaletami" brytyjskimi zajmują się inni wypróbowani opiekunowie, choćby taki Lord Vansittart, który napewno Anglikom wygarnie prawdę prosto w oczy.

To nie nasze zadanie. My możemy widzieć i dziwić się. Nasze bowiem zadanie dodatnie, twórcze polega na zestawianiu ich plusów z naszymi minusami, z którego to porównania powstać może dopiero prawdziwie "malgaska" opisywana przez Fiedlera ambinanitelska, a raczej ambicjonatelska "T s i a m u n a n a" czyli pieśń, w której człowiek pierwotny wygarnia całą prawdę.

Polecam Pani Droga Pani Barbaro, następną moją "Tsiamunanę." Będzie to pieśń poświęcona kobiecie polskiej na emigracji.

WIKTOR BUDZYŃSKI

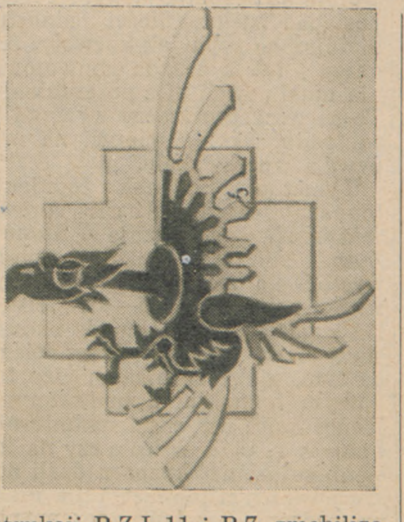
Z życia obozów

Dywizjon wileński obchodzi swoje święto

Ranek jest mroźny i nieco zamglony. Podłużne zagony chmur na niebie przedzielają pasemka błękitu zwiastując zupełne rozpogodzenie; na lotnisku snują się niskie opary. Na całej przestrzeni, jak okiem sięgnąć rozrzucone samoloty: ścigłe Spitfiry, duże maszyny wywiadowcze, Hurricany. Tu i ówdzie, jak szlachetne rumaki, okryte derkami, oczekują nocy czarne, tajemnicze Beaufightery. Długi dwuszereg lotników maszeruje w stronę hangaru, który w godzinach "wolnych od zajęć służbowych" służy jako kaplica polowa.

Tuż przy ścieżce, jak kot na łapach przysiadł "Hesio" dowódcy dywizjonu. Barwny kondor—znak bojowy lotników wileńskich w Polsce—zdobi jego kadłub, jak ordery na piersi zasłużonego żołnierza czernią się trzy małe swastyki, świadectwo odniesionych zwycięstw powietrznych. Opodal "Marysia," "Haneczka," "Sheila" i inne drapieżne stworzonka oczekują na defiladę w dniu rodzinnej uroczystości 317 wileńskiego dywizjonu myśliwskiego.

Przed ołtarzem polowym rozpoczyna się msza święta. Biały orzeł roztacza zwycięsko skrzydła, na jego piersiach tryptyk, malowany przez lotnika: w środku Matka Boska Częstochowska, po lewej postać modlącej się kobiety i dziecka, po prawej lotnik. Prosty ale wymowny symbol naszej wiary i tęsknoty. Daleko pozostała Ojczyzna, daleko spowita w śniegi





Ich najmniejszy przyjaciel

ziemia wileńska, ale modlitwy tych co w Kraju zostali i tych, co tutaj walczą, łączą się zawsze, a szczególnie w tym dniu uroczystym, u stóp Tej, "co jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci Bramie." Do Niej płynie pieśń błagalna "Serdeczna Matko."

W pierwszych rzędach przed ołtarzem skupia się gromada gości, przybyłych na święto dywizjonu: są zastępca dowódcy Polskich Sił Powietrznych i dowódca Lotnictwa Myśliwskiego, jest pierwszy dowódca dywizjonu, są delegaci bratnich jednostek myśliwskich. Przybył w odwiedziny do swojaków gen. Żeligowski, zdobywca Wilna, zjechali się z różnych stron Anglii i Szkocji dawni komilitonowie, przyjaciele i sympatycy, nie brak reprezentantów R.A.F.

Krótkie kazanie księdza kapelana kończy religijną część uroczystości. Zaczyna się defilada. Szybko przemaszerowuje "rzut pieszy," a zaraz po tym ukazują się w powietrzu cztery "klucze," przelatują wśród ogłuszającego łoskotu tuż nad trybuną i znikają na horyzoncie. Po chwili jednak znowu narasta brzęczenie motorów i nagle jak upiory wyskakują z mgiełki Spitfiry. Prowadzący samolot przewala się na skrzydło i spada na dół, za nim po kolei inne. Jak burza przechodzą tuż nad głowami zebranych na dole i rozbiegają się po całej przestrzeni lotniska. Takie właśnie "ćwiczenie" przy akompaniamencie grających działek i karabinów maszynowych wykonuje się zwykle po drugiej stronie Kanału. Polacy nazywają je "kosynierem," Angliczanie mówią w takich wypadkach o "sweepie" albo "rabarbar"—jak kto woli.

Tak się zaczęło święto dywizjonu myśliwskiego Nr. 317, przechowującego tradycje wileńskie. Rocznica powstania tej jednostki na ziemi brytyjskiej zbiegła się z dniem, w którym przed 20 laty Ziemia Wileńska uroczyście opowiedziała się za związaniem na wieki z Rzeczpospolitą.

Zanim jednak lotnicy wileńscy zaczęli "wymiatać" Niemców z francuskiego wybrzeża zapisali w Polsce piękną kartę w dziejach lotnictwa polskiego. Ich historia datuje się od roku 1937, kiedy dwie eskadry, wydzielone z jednostki toruńskiej dały początek dywizjonowi wileńskiemu. Wyposażony w samoloty polskiej konstrukcji P.Z.L.11 i P.7, zmobilizowany z końcem sierpnia 1939 r. został on przydzielony do grupy "Narew."

Ustępujący znacznie niemieckiemu sprzęt, zwłaszcza uzbrojenie starego typu, skłoniły dowództwo polskie do wyznaczenia Wilnianom wyłącznie zadań rozpoznawczych. Ale przebieg wypadków przekreślił to zarządzenie. Od pierwszego dnia wojny dywizjon znajduje się w ogniu i spełnia różnorodne zadania nie szczędząc krwi i ofiar. Już 2 września ponosi pierwsze straty, ale zestrzeliwuje trzy maszyny niemieckie. Jeden z pilotów ranny tego dnia i wzięty do niewoli zdołał uciec i przedostał się do Anglii, by tu zginąć śmiercią lotnika.

W ciągu następnych kilku dni dywizjon walczy bez przerwy zmieniając ciągle lotniska. Powiększa się liczba strąconych Niemców, ale rosną także straty własne, wykruszają się maszyny. Wilnianie odpierają wyprawy bombowe, "chodzą" na osłonę "Karasi," patrolują, walczą i giną. Ilość maszyn zdatnych do użytku gwałtownie maleje. "*Jesteśmy w piątkę koło Warszawy*—notuje w pamiętniku jeden z pilotów—*ale dwie maszyny ciężko uszkodzone. Ubezpieczaliśmy przemarsz oddziału piechoty z Rembertowa do stolicy.*" Dnia 13 września łączą się dwie walczące dotąd oddzielnie eskadry wileńskie; łączą się, ale tylko po to, aby za kilka dni pójść razem na tułaczkę.

Dalsze dzieje to sprawy powszechnie znane i wspólne żołnierzom wszystkich rodzajów broni: obóz internowanych, ucieczka, długie, bardzo długie oczekiwanie na sprzęt we Francji, wreszcie przyjazd do Wielkiej Brytanii. Zanim jednak zgromadzili się razem, walczyli Wilnianie rozproszeni w dywizjonach angielskich i niejedno odnieśli zwycięstwo. Dopiero po "bitwie o Wielką Brytanię" zaczęło się formowanie dywizjonu, a w dniu 18 lutego 1941 dowódca na pierwszej stronie "Dziennika zajęć" wpisał słowa: *W Imię Boże i dla Ciebie Polsko*"!

Rozpoczęła się robota, ale nie od razu wszystko szło jak z płatka: kronika dywizjonowa notuje liczne trudności, wspomina o przeszkodach, które musiał pokonać dywizjon, aby stać się pełnowartościową jednostką bojową. Wypadło im walczyć na trudnym odcinku i to w tym okresie, kiedy przesiliły się już masowe naloty niemieckie na wyspę brytyjską i mało było sposobności do błyskotliwych pojedynków powietrznych, efektownych zwycięstw. Uciążliwe patrole, uparte "wiszenie" nad konwojem, osłanianie bombowców—oto najczęstsze zadanie bojowe Wilnian. Dość długo w tych warunkach wypadło czekać na pierwsze zwycięstwo. I dopiero z końcem wiosny jeden z pilotów mógł zanotować w kronice taką relację:

"*Jak do tego doszło? Easy. Wiem, że przez cały dzień byłem w dobrym humorze i ciągle sobie powtarzałem: "Dzisiaj kogoś zerżnę!" Nagle telefon: "Black section scramble!" Gazujemy z B. prosto nad morze. Pogoda marna: ciemno, chmury niskie. H-flight ląduje. Zampomniałem oczywiście o moim przeczuciu i pewnie byłbym zupełnie zapomniał, gdyby nie głupi Ju.88, który po 20 minutach skradania się na okręty wyszedł z chmury tylko na chwileczkę. I wtedy zaczęło się rżnięcie! Kąpał się Ju.88 w słonej i zimnej wodzie, a mnie też było miło i przyjemnie. Niewinność squadronu pękła!*"

Mocno utkwił również w pamięci Wilnian dzień pierwszej, większej zbiorowej roboty.

"*Inteligentny*" *oficer dziś zwariował*—pisze jeden z uczestników wyprawy.—*Chodzi, uśmiecha się, potem szuka map, zagląda w jakieś papiery z napisem: "Most secret." Co to ma znaczyć? Aż dowiedzieliśmy się nareszcie, że lecimy na "sweep."*

Odtąd mieli po uszy takich wzruszeń. Byli nad Brestem i Dunkierką, nad Le Havre, uganiali za Niemcami po wybrzeżu. Nie zawsze polowanie się udawało, ale nie mogą Wilnianie narzekać . . . Kiedyś tam ustrzelono Junkersa, który już, już miał wyrzucić bomby na statek i . . . nie zdążył, kiedy indziej wyratowano ze srogiej opresji "Halifaxa," którego obskoczyły Messerschmidty jak zgraja wściekłych psów. Innym razem udało się przydybać niemiecki trawler i naszpikować pociskami.

Szczególnie hojnym okazał się dla wileńskiego dywizjonu św. Mikołaj. W dniu tym mała wyprawa /2 maszyny/ wtargnęła głęboko w głąb okupowanej Francji i "zreferowała" rafinerię. Skropione pociskami zbiorniki eksplodowały, a później pożar przerzucił się na zabudowania fabryczne i wykończył je "na gładko." Fajerwerk był pierwszorzędny!

Nie brakło także dywizjonowi przeżyć innego rodzaju. W pochmurny dzień ubiegłego lata zjawił się niespodzianie "Jerry" nad lotniskiem, rzucił kilka bomb i zapalił hangar. Skoczyło wtedy czterech mechaników ratować zagrożone maszyny. I uratowali, a ponieważ śmiałkom los sprzyja, więc i sami wyszli bez szwanku.

Nie zdarzyło się tylko jeszcze nigdy dotąd spaść kupą na większe stadko bombowców lub chociażby myśliwców i pod tym względem Wilnianie ciągle jeszcze oczekują dnia swojej "wielkiej przygody," ale i tak ma już dywizjon na "rachunku bieżącym" 12 maszyn nieprzyjacielskich zniszczonych, a drugie tyle "prawdopodobnych" lub "uszkodzonych." Będzie ich więcej. Wilnianie wierzą w to mocno. Tak jak święcie wierzą, że spełni się ich największe marzenie, zawarte w życzeniu Prezydenta Rzeczypospolitej, wpisanym do kroniki dywizjonu 317:

"*Obyście pierwsi zanieśli sztandar Lotnictwa Polskiego do Wilna.*"

LUDWIK BOJCZUK



Po powrocie z lotu: pilot i mechanik

"Brains Trust" w polskim wojsku

"*Brains Trust*" albo "*Any questions?*"—to instytucja, z którą mógł się zapoznać każdy Polak, przebywający przez kilka miesięcy w W. Brytanii, oczywiście jeżeli się interesował życiem społecznym, zebraniami młodzieżowymi albo studiował program B.B.C.

Ale aby nie zaszły jakieś nieporozumienia—przypomnijmy sobie w paru zdaniach, jak to wygląda. Oto na jakimś np. obozie skautowym lub kilkudniowej konferencji instruktorskiej—wybiera się "najtęższe głowy" i sadza za stół jako "*Brains Trust,*" powiedzmy sobie Trust Mózgów lub Zespół Mózgów. Uczestnicy tego obozu czy konferencji stawiają publiczne pytania na najtrudniejsze dla nich tematy, a każdy z zespołu mózgów może, a nawet winien odpowiedzieć, niezależnie, nie porozumiewając się z innymi osobami zespołu odpowiadającego. Jeden w zespole odpowiadającym, czyli *Brains Trust* pełni jakby rolę przewodniczącego; on to reasumuje odpowiedzi i przestrzega porządku.

Taki "*Brains Trust*" możemy spotkać wśród studentów na uniwersytecie, wśród robotników, a także wśród brytyjskich żołnierzy. Nawet B.B.C. to uwzględnia, tylko pytania nie są stawiane przez obecnych na sali, ale są nadsyłane i niektóre tylko z nich są wybierane i na te jest odpowiedź, udzielona przed mikrofonem B.B.C. Kto chce się bliżej z tym zapoznać, niech poszuka w programie *Forces Program* — w niedzielę "*Any questions?*"

Cel "*Brains Trust'u,*" bezpośredniego, odbywającego się na sali—jest mówiąc z grubsza następujący: uczy jasno ujmować i stawiać publicznie pytania, jest gimnastyką umysłową dla odpowiadających, a pytający i inni obecni na sali dostają w kilku odpowiedziach wielostronne oświetlenie poruszonej sprawy. A więc bardzo demokratyczna szkoła wyrabiania poglądu i wypowiadania go.

Kilka miesięcy temu w t.zw. "Batalionie Szkockim" naszego wojska oficer oświatowy zaproponował wprowadzenie "*Brains Trust'u*" do obozu tego Batalionu. Uzasadniał to tym, że żołnierz polski ma wiele poważnych pytań, które czekają odpowiedzi, że z drugiej strony mamy wielu wybitnych fachowców czy społeczników, którzy mieliby coś do powiedzenia na nurtujące pytania, a wreszcie podkreślał, że może to być dobra szkoła zbiorowego samokształcenia.

Nastąpiła zgoda na ten nieznany "*Brains Trust*"—choć zarówno u góry jak i u dołu czekano co z tego wyniknie. A może jakieś pytanie niecenzuralne, z którym sobie nie dadzą rady ci z zespołu odpowiadającego. Okazało się jednak po pierwszej próbie, że i w górze i w dole impreza się podobała. Odbywa się obecnie co dwa tygodnie, a na jednym z takich wieczorów był obecny Szef Sztabu Brygady i oficerowie oświatowi całej Brygady. Im się też podobało.

A teraz parę danych o składzie zespołu odpowiadającego — czyli właściwym "*Brains Truście.*" Oficer oświatowy zaprasza doń "najtęższe głowy," przy czym jednocześnie zasiada około 6 osób, które się częściowo zmieniają. Zwyczajnie zasiada: historyk i pedagog /dr. fil./, antropolog i psychotechnik, prawnik, ekonomista, inżynier, matematyk, społecznik—bez względu na stopień wojskowy.

A oto niektóre z postawionych pytań: Jaka powinna być prasa w kraju demokratycznym? Jak będą wyglądały stosunki polsko-czeskie? Wady i zalety charakteru Polaka. Co to jest faszyzm? Jaki jest system pieniężny w krajach okupowanych? Czy małżeństwo ze Szkotką jest korzystne? Jaki będzie system nauczania w Polsce? Co to jest hypnotyzm? Jaka powinna być reforma rolna w Polsce? Jakie są możliwości rozwoju stosunków polsko-szkockich? Jak powstają kompleksy niższości? Przyczyny upadku Francji. Czym się tłumaczy spoistość hitlerowskich Niemiec i Rosji Sowieckiej? Co to jest masoneria i jakie są jej cele? Struktura społeczna St. Zjedn. i jej wpływ na Polaków w Ameryce. Jakie powinny być inwestycje w przyszłej Polsce?

Dla podkreślenia, że nasz żołnierz myśli poważnie i zasługuje na pełne zaufanie, trzeba dodać, że ani razu nie padło pytanie niewłaściwe czy niepoważne. A przecież na *Brains Trust* przychodzi do świetlicy kilkadziesiąt żołnierzy, czasem około stu i nikt ich nie krępuje w stawianiu pytań.

Z innych oddziałów zwracają się z zaproszeniami, ażeby *Brains Trust* przybył do nich również i zapoczątkował zorganizowanie własnego. Batalion Szkocki—oczywiście chętnie pomoże, bo przez kilka miesięcy przekonał się, że tę imprezę warto wprowadzić i przywieść do Polski.

PŁOWY SĘP

ATAK NA JAWĘ

W chwili, gdy piszemy te słowa Japończycy atakują Jawę i posuwają się w głąb wyspy. Wojska sojusznicze przedstawiają się na tym odcinku napewno pokaźniej, aniżeli jeszcze miesiąc temu, posiłki australijskie, angielskie i amerykańskie doszły, ale przypuszczać należy, że przewaga liczebna Japończyków jest dalej duża. Wysadzili oni desanty z piędziesięciu jednostek morskich i posuwają się tankietkami, motocyklami i rowerami w głąb wyspy. Trudno przypuścić, ażeby na razie rzucono na Jawę więcej jak 50,000 żołnierzy japońskich /jest to zapewne w dużym procencie siła, która atakowała Singapore/, ale tego rodzaju siła może opanować Jawę—*ostatnią twierdzę sojuszniczą w obrębie Indyj Holenderskich.*

Japończycy prą najwidoczniej ku Indiom, Ceylonowi, Madagaskarowi. Zajęli oni już grupę wysp w zatoce bengalskiej, co zagraża niewątpliwie wejściu do tej zatoki. *Przecięli także bodaj linię kolejową biegnącą między Rangoonem a Mandalay.* W ten sposób Birma jest w ogniu, droga birmańska przestaje odgrywać swoją rolę. Sojusznicy będą musieli cofać się w stronę granicy samych Indyj. Wojna zbliża się do bram Indyj.

Uderzenie japońskie zarysowuje się wcale jasno: *ma ono na celu sparaliżować linie połączeń na Oceanie Indyjskim,* ażeby odciąć pomoc amerykańską idącą na Środkowy i Bliski Wschód. Rację zatem mieli ci obserwatorzy angielscy, którzy uważali, że marsz japoński—a raczej kierunek ataku lotniczo-morskiego pójdzie na Aden.

ZAGADNIENIE ŻEGLUGI

Jest to wielkie zagadnienie: Ocean Indyjski. Chodzi bowiem nie tylko o Indie, o Chiny, które zbyt może powoli wciąga się w walkę, w udział po stronie sojuszników, ale także i linie z *Middle i Near East.* Losy kampanii libijskiej, losy Morza Czerwonego zależą w dużej mierze od wypadków na tym Oceanie.

Drugim Oceanem, który jest ważny—Ocean Spokojny jest jakby chwilowo wyłączony z wielkich działań, a trudno przypuścić, ażeby Japończycy uderzali na *Australię,* jako na obiekt zupełnie im niepotrzebny—jest Ocean Atlantycki. Na tym oceanie odbywa się walka codzienna, żmudna, stale ryzykowna. Ilość zatonień tonnażu brytyjskiego wzrosła a z ust zarówno premiera W. Brytanii jak pierwszego lorda admiralicji społeczeństwo brytyjskie otrzymało ostrzeżenie, że chwila jest poważna i że straty na morzu znowu podskoczyły.

Sprawa żeglugi jest istotnie zagadnieniem niejako centralnym dla Anglii. *Ships will decide*—powiadają Anglicy i jest w tym wiele racji. Wszystko trzeba dowieść na liczne teatry walki, wszystkiego trzeba dostarczyć właśnie żeglugą. Człowiek z kontynentu nie orientuje się po prostu w wadze tego zagadnienia, albowiem myślenie sprawami żeglugi i tonnażu jest dla niego dosyć odległe. Dla Anglika jednak te rzeczy posiadają inne brzmienie.

Szkic sytuacyjny

Jest dzisiaj rzeczą jasną, że groza okrętów podwodnych jest znaczna i *że nigdy nie wolno jej nie doceniać.* Przypuszczać trzeba, że ilość okrętów podwodnych, które grasują na Atlantyku, jest spora. Niemcy zdawna już posiedli tajemnicę wyrobu okrętów "skróconymi sposobami." Kształcenie załóg postępuje oczywiście wolniej, aniżeli by tego Rzesza chciała, ale metody operowania okrętów podwodnych są dzisiaj odmienne.

Idą one jakby stadami wilczymi, co podnosi moral załóg. Poza tym: wloką się za konwojem w ciągu dnia, a torpedują w nocy. Kierujący atakiem okręt wchodzi w środek konwoju i rozdziela torpedy na wszystkie strony, celem wywołania zamieszania. Działanie obronne w tych warunkach, rzucanie *depth charges* i t.d.—jest wielce utrudnione przez ciemność nocną.

Niemcy opracowali swoje plany ataków okrętami podwodnymi na nowych zasadach. Anglicy zdają sobie sprawę z grozy okrętów podwodnych, ale wiedzą również, że przeciwdziałanie im nie jest w tej wojnie szczególnie łatwe. Trzeba posiadać większe ilości jednostek mniejszego typu jak korwety, ścigacze i t.d. a zasada konwojowania musi powoli ulec przerobieniu. To są wszystko rzeczy wymagające trudu, wkładu energii na niebywałą wprost skalę.

Tymczasem jednak topnienie tonnażu jest dla Anglii sprawą zasadniczą. Stocznie Stanów Zjdn., stocznie Kanady, muszą wysilić się na wszelkie sposoby, ażeby załatać braki—ale trzeba też wiedzieć, że statku nie buduje się w ciągu tygodni. Rzecz polega na tym, ażeby różnica między topionym tonnażem a budowanymi jednostkami nie rosła nadmiernie i aby w r. 1943, w lecie czy na jesieni, sojusznicy rozporządzali dosyć poważnym tonnażem dla przeprowadzenia zadań zaczepnych, jakie na ten mniej więcej termin sobie wyznaczają.

UDERZENIE NA KAUKAZ

Obserwatorzy angielscy przewidują uderzenie niemieckie na południu na wstępne dni maja. Ogólnie sądzi się, że marsz niemiecki będzie tym razem dośrodkowy i że pójdzie na Kaukaz jako na ten punkt, który jest istotnie ważny dla strategii niemieckiej /ropa/. Do tego czasu Rosjanie mają jeszcze ośm tygodni. Pytanie, ile terenu potrafi odzyskać armia sowiecka?

Rosjanie sami zapatrują się na tę sprawę ze spokojem. Uważają oni, że zadanie ich jest trudne i że pomoc w sprzęcie ze strony sojuszniczej jest dla nich konieczna. Nie ukrywają zupełnie, że wzmożenie tej pomocy jest wskazane i to *jak najszybciej.* Powiada to wyraźnie zarówno rozkaz dzienny Stalina, jak przemówienie wygłoszome przez Litwinowa w Waszyngtonie. Moskwa powiada również wcale otwarcie, że sojusznicy winni otworzyć drugi front na kontynencie Europy.

RAID NA BRZEG FRANCUSKI

Uderzenie na brzeg francuski w okolicy Brestu dowiodło, że istnieją doskonale przeszkolone wojska spadochronowe */Airborne/* i że wykorzystano je celowo. Po ataku dokonanym swojego czasu na Kalabrię podjęto akcję bliższą i na mniejszą zakrojoną skalę. Poprzednie wypady t.zw. *Commandos* szły statkami.

Anglicy zaznaczają, że raid na brzeg francuski nie może być uważany żadną miarą za otwarcie drugiego frontu w Europie. Jest to tylko wypad treningowy, który niepokoi Niemców a daje swoim potrzebną zaprawę w tego rodzaju próbach. Dowodzi on Niemcom, że ich linia brzegu jest nadmiernie wydłużona i że zatem upilnowanie jej jest niemożliwością.

Czy Anglicy istotnie dokonają na wiosnę b.r. jakiegoś uderzenia na Norwegię—tak jak to ogłasza prasa amerykańska—nie wiemy i wiedzieć nie możemy. Faktem jest, że Niemcy fortyfikują pobrzeże norweskie i że pogotowie ich w Norwegii jest wzmocnione.

ROLA OKRĘTÓW NIEMIECKICH W NORWEGII

Stwierdzono dzisiaj, że dwa uszkodzone okręty: Scharnhorst i Gneisenau osiadły w Trondhjem. Przypuszczalnie przejdą one tam naprawę. Usadowienie się tych dwóch jednostek na szlaku północnym jest dowodem, że admiralicji niemieckiej marzy się przecinanie linij żeglugi między W. Brytanią a Rosją. Szlak do Archangielska jest napewno używany na dużą skalę, trzeba zatem zrobić wszystko, ażeby niemieccy *surface raiders* nie wyszli na szlaki.

W tych warunkach admiralicja angielska musi czuwać nie tylko nad trasą do Archangielska, ale równocześnie lotnictwo brytyjskie musi obrzydzić życie Scharnhorstowi i Gneisenau'owi w Trondhjem. Robota jest skomplikowana, ale do wykonania. Wiadomo dzisiaj, że Anglicy nie szczędzą nigdy trudów, ażeby bombardować doki i że ich ataki na Brest wypłoszyły obie jednostki niemieckie z tego portu.

Podobnie, bombardowania, jakie Anglicy prowadzą nad Rzeszą skierowane są głównie, jeżeli nie wyłącznie, na porty takie jak Brema, Wilhelmshaven, Kilonia. Anglicy doszli do wniosku, że należy przede wszystkim, a bodaj i wyłącznie, dobierać się do kryjówek *niemieckiej potęgi morskiej,* a że t.zw. *grand plan R.A.F.,* który polegał na zniszczeniu potęgi przemysłowej Rzeszy, nie będzie na razie przeprowadzany.

Tak zapewniają korespondenci lotniczy wielkich pism angielskich i sądzić należy, że ich zdanie jest po części zgodne z prawdą. Nie można się dziwić, że Anglicy poszli na razie na takie postanowienie: bombardowanie okręgów przemysłowych jest celowe wtedy, jeżeli jest masowe i jeżeli akcja prowadzona jest jednak za dnia. Bombardowanie nocne określonych obiektów okazało się niezawsze celowe.

Londyn, 2 marca 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Pomoc dla Polaków w Rosji : £550

Szanowna Redakcjo
w zrozumieniu potrzeb chwili przesyłam załączone w gotówce cztery funty na pomoc dla Polaków w Rosji. Kwota ta zebrana została między przyjaciółmi i kolegami na wieniec pośmiertny dla ś.p.: st. sierż. strzelca samol. rtg. Czesława B. z naszego dywizjonu, który zginął śmiercią lotnika dnia 6.II.1942 w czasie powrotu z lotniczej wyprawy bojowej ponad terytorium wroga.

Znając dobrze od bardzo wielu lat charakter i poczucie obowiązków narodowych i obywalelskich ś.p. naszego przyjaciela jesteśmy przekonani, że tym sposobem właśnie najlepiej uczcimy jego pamięć. Pomoc dla Polaków w Rosji jest bowiem dziś jedną z tych wielu dróg wiodących nas do ostatecznego i najwyższego celu—wolności i odrodzenia Polski. Dla Niej to żył, służył, walczył nigdy niezapomniany przez nas st. sierż. Czesław B.

W imieniu ofiarodawców z poważaniem pozostaję
K.H. st. sierż. /300 Polski Dywizjon Bombowy/.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"
w odpowiedzi na apel Pana W. Budzyńskiego, z inicjatywy Baraku 12 personel A.C.T.C. R.A.F. Hucknall przesyła £7 sh.7 d.1 /słownie funtów siedem, szylingów siedem, jeden pens/ na rzecz pomocy Polakom w Z.S.R.R. Zbiórka odbyła się pod hasłem: "zamiast jednego wyjścia na miasto."

Z poważaniem
L.A.C. A.W.

* * *

Pracownicy Wojskowego Biura Prop. i Ośw. na zebraniu koleżeńskim przyjęli zasadę dobrowolnego stałego opodatkowania według tabeli progresywnej. Wpłata za miesiąc marzec wynosi: £13 6 sh.

* * *

W załączeniu przesyłamy przekaz na £11 /jednaście/ dla Polaków w Rosji. Kwota powyższa jest częścią czystego dochodu z zabawy tanecznej urządzonej w dniu 18.II. b.r. Jeśli to będzie możliwe prosimy o przekazanie tej skromnej sumy dla żołnierzy muzyków orkiestry wojskowej Armii Polskiej w Z.S.R.R. jako dowód naszej o nich pamięci.
Żołnierze orkiestry I Brygady Strzelców

* * *

Zamiast urządzenia przyjęcia pożegnalnego dla wychowanków przesyłam dwa funty dla rodaków w Rosji.
Płk. Tadeusz J.

* * *

Zamiast upominku dla opuszczających naszą jednostkę kolegów, por. Fr. P. i ppor. St. J. przesyłamy kwotę £1, 12 sh. na pomoc Polakom cierpiącym w Rosji.
por. Aleksander S.

* * *

Zamiast prezentu dla żony w rocznicę ślubu £1 składam na pomoc dla Polaków w Rosji.
podchor. St.D.

* * *

Na rzecz pomoc Polakom w Rosji £3, 3 sh. w dniu imienin żony Nany przebywającej w kraju składa
A.W.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"
ośmiu żołnierzy przebywających na leczeniu w N. sanatorium w Szkocji przesyłają czekiem samorzutnie zebraną kwotę £3, 15 sh. na pomoc dla Polaków w Rosji.
S.Z. st. sierż.

* * *

Kasyno oficerskie Pociągu Pancernego "F." przesyła czek na kwotę £10 z przeznaczeniem na pomoc dla Polaków w Rosji.
ppor. magister Adam W.

* * *

Dear Sir,
On behalf of my wife, I enclose herewith cheque for £7, being donation to the Polish Refugee Fund.
Yours faithfully,
J. P. Mackenzie

Zespół Artystyczno-Literacki 2 Baonu 1 Brygady Strzelców składa na Pomoc Polakom w Rosji £4 12s. 4d., jako połowę kwoty uzyskanej ze sprzedaży biletów wstępu na Wieczór artystyczno-literacki urządzony przez zespół na stacji Polskich Dywizjonów Bombowych 304/305.
Oficer Oświatowy Baonu

* * *

Kazimierzowi Wajdzie, naszemu kochanemu Szczepkowi, składamy w dniu Imienin najserdeczniejsze życzenia, a zamiast upominku składamy 30 szylingów na pomoc dla Polaków w Rosji.
Koleżanki i koledzy z "Lwowskiej Fali"

* * *

Drogi Panie,
załączam 5 sh. otrzymane z redakcji "Wiadomości Polskich" nagrodę za wycinek z "Dziennika Polskiego" przesłany do "Camera obscura."
Łączę wyrazy poważania
K. Romaszkan

* * *

Nadto otrzymaliśmy na ten cel następujące ofiary: Inż. M.S. £2; Henryk Mund nieprzyjęte honorarium z "Polski Walczącej" £1; por. mar. Włodzimierz O. £4; p. H. Wachnicki nieprzyjęte honorarium £1 10 sh.; p. A. Ordęga nieprzyjęte honorarium £1 10 sh. i p. A. Kujawski £1.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze: £81 10 sh. 5d. /słownie: osiemdziesiąt funtów, dziesięć szylingów, pięć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" do: £550 9 sh. 6 d. /słownie: pięćset pięćdziesiąt funtów, dziewięć szylingów, sześć pensów/.

PP. Władysław Midowicz i Karol Milobędzki mają w redakcji listy do odebrania.

W sobotę d. 14 marca r.b. o g. 6 p.p. odbędzie się w Ognisku Polskim, Princes Gate 55,

ZBIOROWY WIECZÓR P.E.N. KLUBU POLSKIEGO

na temat POLSKA i WIELKA BRYTANIA.

Udział biorą: p.p. Fr. Bauer Czarnomski, Tytus Filipowicz, Jerzy Kuncewicz, Otton Laskowski, Czesław Poznański, Antoni Słonimski.

Cały dochód z wieczoru przeznaczony na pomoc dla kolegów pisarzy.

Wejście 2/6. Bilety do nabycia w Ognisku Polskim i u wejścia.

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.